

R.L. Stine
Tajemnicze wyznanie

Przełożyła Anna Kowalczyk
Siedmiorog

rozdział 1

Co byście zrobili, gdyby jeden z waszych najlepszych przyjaciół powiedział wam, że chce się z czegoś zwierzyć? A potem wyznałby, że kogoś zabił? I błagałby o dochowanie tajemnicy. Prosił, żebyście zatrzymali dla siebie ten okropny sekret. Co byście zrobili?

Zawiadomili jego rodziców? Spróbowali przekonać go, żeby sam im o tym powiedział?

Zadzwonili na policję? Czy opowiedzieli o tym mamie i tacie?

A może trzymalibyście język za zębami?

Niezbyt łatwy wybór. Mam siedemnaście lat i czasem wydaje mi się, że znam odpowiedź na wiele pytań. Ale gdy jeden z moich przyjaciół zaprosił do domu całą naszą paczkę i przyznał się, że kogoś zamordował, zupełnie nie wiedziałam, co robić.

Coś wam powiem, tego ciepłego wiosennego dnia, ostatniego dnia maja, kiedy Hillary Walker i Taylor Snook przyszły do mnie po lekcjach, nie w głowie nam były historie o morderstwach. Rześkie powietrze słodko pachniało. Na gałęziach starych drzew rosnących w ogrodzie drżały jasnozielone listki. Łany czerwonych i żółtych tulipanów kołysały się łagodnie na kwietniku koło garażu.

Cały ogród lśnił w jaskrawym popołudniowym świetle. Rzuciłyśmy teczki na trawę i usiadłyśmy na nich. Rozprostowałyśmy nogi i wystawiłyśmy buzie do słońca. Taylor odgarnęła z policzków jasne, prawie białe włosy. W jej zielonych oczach migotały słoneczne ogniki. Przymknęła powieki i uniosła twarz ku słońcu.

— Julio, opalałaś się kiedyś nago? — spytała mnie.

Obie z Hillary wybuchnęłyśmy śmiechem. Taylor zawsze próbowała nas czymś zaskoczyć.

— Myślisz o opalaniu się w ogrodzie? — zapytałam.

— Nie, na plaży — burknęła Taylor.

Nie miała ochoty odpowiadać na głupie pytania. Taylor była moją

nową przyjaciółką. Czasami wydawało mi się, że wcale mnie aż tak bardzo nie lubi.

— Pewnej zimy pojechałam z rodzicami na Karaiby, na wyspę Świętego Krzyża. Chodziliśmy tam na plażę nudystów — powiedziała Taylor.

Nadal miała zamknięte oczy i uśmiechała się na wspomnienie tamtych wakacji.

— Zdejmowałaś kostium kąpielowy? — dopytywała się Hillary. Taylor parsknęła śmiechem.

— Miałam tylko siedem lat. Śmiałyśmy się wraz z nią.

Hillary wstała. Długi warkocz zakołysał się na jej plecach.

— Julio, mogłybyśmy wejść do środka? — zapytała. — Chyba już wystarczająco się opaliłam.

Roześmiałyśmy się po raz kolejny. Hillary jest Murzynką. Wyciągnęłam rękę i Hillary pomogła mi wstać.

— Nie możesz usiedzieć w miejscu dłużej niż pięć minut? — ofuknęłam ją.

Przyjaźnimy się od podstawówki. Jestem przyzwyczajona do jej stylu bycia, ale myślę, że inni dziwią się nadmiarowi energii, który ją rozsadza. Mówi bardzo szybko. Jej oczy biegają tam i z

powrotem za szklami okularów w białej plastikowej oprawce.

Hillary jest niesamowicie żywiołowa. Tak, to określenie najlepiej do niej pasuje.

Jest inteligentna, sympatyczna, dowcipna i... żywiołowa.

Przypomina mi jedną z tych nakręcanych zabawek, które, jeśli sieje za mocno nakręci, uciekają z rąk i zaczynają miotać się we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Na czym to skończyłam?

Hillary pomogła mi wstać. Zawlokłyśmy teczki do domu. Usiadłyśmy w kuchni. Na okrągłym, żółtym stole postawiłyśmy miskę chipsów i puszki Górskiej Rosy.

Oczywiście zaczęłyśmy rozmawiać o chłopcach. Przede wszystkim o Vincencie i o Sandym.

Vincent Freedman należy do naszej paczki. Znam go od bardzo dawna. Muszę przyznać, że ostatnio mam coraz większą ochotę, żeby

6

7

stał się dla mnie kimś więcej niż tylko przyjacielem. Wydaje mi się, że moglibyśmy być zgraną parą. Ale to już inna historia.

Vincent na pewno nie ma pojęcia, że coś do niego czuję. Przez myśl mu to nawet nie przemknie.

Sandy Miller, nasz dobry kolega, od miesiąca chodzi z Taylor. To dzięki niemu Taylor przyłączyła się do naszej paczki.

Biedny Sandy. Odkąd Taylor zwróciła na niego uwagę, jest ciągle zmieszany i oszołomiony.

Mówię poważnie.

Sandy jest bardzo nieśmiałym i spokojnym chłopcem. Nigdy nawet nie próbował podrywać tej największej piękności z naszego liceum. Chyba nie może się otrząsnąć z wrażenia, że taka ładna i gorąca dziewczyna uważa go za Brada Pitta.

Szczęściarz z niego, no nie? Taak. Prawdę mówiąc, Hillary i ja jesteśmy zdziwione nie mniej niż Sandy, że Taylor wybrała właśnie jego.

Ale to też jest inna historia.

Siedziałyśmy wokół kuchennego stołu chichocząc i plotkując o chłopakach. A potem zaczęłyśmy rozmawiać o imprezie. O tej imprezie.

Impreza w wielkim domu Revy Dalby to nie lada gratka. Reva jest najbogatszą dziewczyną z liceum Shadyside. Jej ojciec jest właścicielem przynajmniej stu sklepów w naszym stanie.

Mieszkają na Północnych Wzgórzach, w olbrzymiej murowanej rezydencji. Posiadłości otoczonej wysokim ogrodzeniem strzegą psy obronne.

Reva zaprosiła całą klasę maturalną. Wynajęła dwa zespoły muzyczne, żeby urządzić tańce w ogrodzie. Garage Band, grający w „Czerwonym Kapeluszu”, miejscowym klubie tanecznym, i raperską grupę 2Ruff4U, która, jak twierdzi Reva, ma przylecieć z Los Angeles specjalnie na tę imprezę.

:Reva nie jest zbyt miłą osobą. Nikt nie głosowałby na nią, gdybyśmy wybierali najfajniejszą dziewczynę ze szkoły. Ale kogo to obchodzi? Każdy z nas dałby się poćwiartować, byleby tylko pójść na urządzaną przez nią zabawę!

Dlatego rozmawiałyśmy właśnie o niej. Hillary marudziła, że nie wie, w co ma się ubrać:

— Zabawa jest w ogrodzie — mówiła. — W nocy robi się jeszcze strasznie zimno, ale nie

chciałabym zakładać czegoś zbyt ciepłego. Mam zamiar dużo tańczyć, więc jeśli ubiorę się w bluzkę z długimi rękawami albo w sweter...

Trajkotała dalej jak katarynka. Hillary wpada w zupełny amok, kiedy zaczyna gadać. Mówi tak szybko, że nikt nie jest w stanie jej przerwać.

Paplałaby bez końca, gdyby przed domem nie rozległ się nagle jakiś hałas.

Ktoś bez pukania otworzył drzwi. Podskoczyłam na krześle. Wysoka postać wpakowała się do kuchni.

Krzyknęłyśmy przestraszone.

Wtedy właśnie zaczęły się nasze kłopoty.

rozdział 2

— Hej, Al, mógłbyś przynajmniej zapukać — powiedziałam, mrużąc oczy ze złości.

Al Freed prychnął pogardliwie. Przyczłapał do stołu, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

— Co u was ciekawego, dziewczyny?

— Na pewno nie ty! — warknęła Hillary.

Taylor i ja roześmiałyśmy się, lecz Al nie uznał tego za zabawne.

Al chodzi do naszej klasy. Jest wysokim, dość dobrze zbudowanym blondynem.

Ma małe, okrągłe oczka, osadzone blisko haczykowatego nosa. Wygląda jak sęp rzucający się na swoją ofiarę.

Zawsze ubiera się na czarno, jak sęp. Usta wykrzywia w szyderym uśmiechu, tak jakby chciał pokazać całemu światu, jaki jest silny.

Z mojego opisu wynika, że to przerażający człowiek. Jednak kiedyś Al należał do naszej paczki i wszyscy bardzo go lubiliśmy. Potem zaczął się zadawać z jakimiś „mocnymi gośćmi” z

Waynesbridge. Z typami spod ciemnej gwiazdy.

8

9

Zmienił się. Pije dużo piwa. Tak przynajmniej twierdzą koledzy, którzy lepiej go znają. Zaczął mieć kłopoty. To znaczy poważne problemy z policją.

Szkoda. Kiedy go widzę, zawsze przypominam sobie, jaki był dawniej. Chciałabym, żeby zapomniał o nowych kolegach i znów zachowywał się tak jak wtedy.

Ale nie sądzę, żeby to było możliwe.

Al podszedł do stołu.

— Założę się, że właśnie o mnie rozmawialiście — powiedział. Wlepił w Taylor malutkie oczka.

— Lecisz na mnie, no nie?

— Mylisz się — burknęła Taylor lodowatym tonem, a jej zielone oczy stały się zimne jak marmur.

— Na pewno masz zamiar rzucić Sandy'ego i zacząć chodzić ze mną — ciągnął Al, wysławiając się tak soczyście, że o mało jej nie opluł.

— Trenujesz ostatnio marsze zdrowotne? — wtrąciła Hillary.

Mówiłam wam. Hillary ma niezły refleks.

Wielkie uszy Ala zrobiły się zupełnie czerwone. Widać było, że jest wściekły.

Podniósł do ust puszkę z piwem. Nie zauważyłam wcześniej, że ją trzymał w ręku. Pociągnął długi łyk, opuścił puszkę i beknął.

— Wiesz, jak zrobić wrażenie na dziewczynie — prychnęła Taylor.

Hillary bębniła nerwowo długimi czerwonymi paznokciami po blacie stołu. Słońce odbijało się w szklach jej okularów, ale dostrzegłam, że uważnie obserwuje Ala.

Przypuszczam, że zaczęła się go trochę bać. Ja zresztą też. Przeturlał puszkę po ręku do zgięcia w łokciu i bez trudu, jednym ruchem ją spłaszczył.

— Staram się — powiedział.

— Założę się, że mógłbyś rozgryźć łupinę orzecha włoskiego — mruknęła Hillary.

Al nie zwracał na nią uwagi. Rzucił puszką. Wylądowała w zlewie, rozpryskując krople piwa na białe linoleum.

— Hej, uważaj! — zawołałam. — Czego chcesz, Al? Po co tu przylazłeś?

10

Spojrzał na mnie.

— Bo cię lubię. Jesteś najlepszą dziewczyną, jaką znam. Machnął ręką w kierunku Hillary i Taylor.

— One niewarte są funta kłaków, ale ty jesteś świetna. Zmrużyłam oczy.

— Czego chcesz, Al? — powtórzyłam zniecierpliwiona.

— Dwudziestu dolarów ■— powiedział, wyciągając wielką łapę. Była usmarowana jakąś czarną mazią. Za paznokciami miał ciemne obwódki brudu. Prawdopodobnie grzebał w silniku samochodu.

— To wszystko. Tylko dwadzieścia dolców.

— Nie mam — odparłam szorstko. Założyłam ręce. — Naprawdę.

— Jesteś najlepsza — nie ustępował Al.

Nie opuszczał ręki. Trzymał ją wyciągniętą w moją stronę.

— Jesteś wspaniała. Jesteś niesamowita. Dwadzieścia dolców. Nie prosiłbym cię, gdybym naprawdę ich nie potrzebował.

Jęknęłam z obrzydzenia.

— Nie mam ani grosza, Al. Poza tym już mi jesteś winien dwadzieścia dolarów.

— Idź sobie, Al — wtrąciła Hillary. — Dlaczego nie znajdziesz jakiejś pracy?

— Kto by chciał go zatrudnić? — zapytała Taylor złośliwie.

Zdziwiłam się, że Taylor wtrąciła się do rozmowy. Mieszka w Shadyside dopiero od Bożego Narodzenia. Należy do naszej paczki od miesiąca. Nie zna Ala na tyle dobrze, żeby mu docinać.

Pomyślałam, że po prostu chciała mi pomóc.

Al wyciągnął papierosa z kieszeni czarnej flanelowej koszuli. Zapalił go i rzucił zapalną podłogę.

— Hej, co robisz! — wrzasnęłam, pokazując ręką drzwi. —

Wiesz przecież, że moi rodzice nie pozwalają na palenie w domu!

Odsunął się ode mnie, wykrzywiając twarz w uśmiechu. Zaciągnął się i dmuchnął mi dymem prosto w nos.

— Al, zostaw ją w spokoju — warknęła Hillary.

Wstała i odsunęła krzesło. Podeszłyśmy obie do nieproszonego gościa. Podniósł ręce, tak jakby chciał się nimi zasłonić.

— Wynoś się! — zawołałam. — Jeśli przyjdzie moja mama i poczuje dym papierosa...

//

Strzepnął popiół na stół. Uśmiechnął się szyderczo, wlepiając we mnie wzrok.

— Wiem, że rodzice nie pozwalają ci palić. Ale znam twoją małą tajemnicę, prawda? Ty też palisz.

— Zamknij się — warknęłam.

Szczerzył zęby w uśmiechu.

— Widziałem cię w zeszły weekend w kawiarni. Paliłaś papierosa.

Puf, puf, puf.

Znowu dmuchnął mi dymem w twarz.

— Julia jest zła. Niegrzeczna dziewczynka. Powiniennem poskarżyć mamusi...

— Nie! — jęknęłam.

Kiedyś mama przyłapała mnie i Hillary na paleniu. Byłyśmy wtedy w dziewiątej klasie. Zrobiła z tego wielką aferę. Ma fioła na punkcie palenia. Obiecała, że dostanę tysiąc dolarów, jeśli nie zapalę papierosa do końca szkoły średniej.

Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, jak zareagowałiby moi rodzice, gdyby się dowiedzieli, że czasami, podczas spotkań z przyjaciółmi, zdarza mi się wypalić kilka papierosów. Mama wpadłaby w szal. To mogłoby się źle skończyć. Naprawdę źle.

Wiedziałam, że Al nie żartuje. Powiedziałby mojej mamie o paleniu, gdybym nie starała się być z nim w dobrych stosunkach.

Dlatego pożyczyłam mu pierwsze dwadzieścia dolarów.

— Al, nie mam pieniędzy. Uwierz mi — nalegałam.

— Taak. Dobra.

Strzepnął znowu popiół z papierosa na stół, tuż przed twarzą Taylor.

— Po co ci dwadzieścia dolarów? — zapytała Hillary.

— Żeby zaprosić Taylor na randkę — odparł szczerząc zęby w uśmiechu.

— Ha, ha. Powiedz mi, kiedy mam zacząć się śmiać — mruknęła Taylor.

Pokazała Alowi język.

— Ślicznie wyglądasz — powiedział. Prychnęła pogardliwie.

— Smarkacz.

Al odwrócił się do mnie. Nie podobał mi się wyraz jego twarzy. Nigdy nie widziałam takiej zawziętości w spojrzeniu Ala.

— Co powiesz na małą dziurę w stole? Nie sądzisz, że potem udałoby ci się znaleźć dwadzieścia dolców?

— Al, proszę... — zaczęłam.

Obrócił papierosa między palcami i zaczął zbliżać rękę do stołu.

— Nie! — jęknęłam.

Skoczyłam na niego, ale okręcił się na pięcie i zasłonił mi stół szerokimi plecami.

Trzymał żarzącego się papierosa blisko żółtego blatu.

— No dalej, Julio. Poszukaj dwudziestu dolców. Nie chcesz chyba, żeby twoja mama znalazła tu wielką dziurę?

— Przestań!

Razem z Hillary odciągnęliśmy go od stołu. Papieros upadł na podłogę. Al zaczął chichotać. Popychałyśmy go w kierunku drzwi.

— Do widzenia, Al — powiedziałam.

Odepchnął nas i zwrócił się do Hillary:

— Twój tatuś jest nieźle zarabiającym lekarzem. Założę się, że masz dwadzieścia dolarów.

Hillary odsunęła się od niego i westchnęła znużona.

— Dlaczego miałabym ci dać choćby centa?

Al przysunął się do ucha Hillary. Tak blisko, że mógłby chwycić zębami dyndający pomarańczowy, szklany kolczyk.

— Z powodu chemii — wyszeptał Al na tyle głośno, że obie z Taylor mogłyśmy go usłyszeć.

Hillary westchnęła.

— Nie chcesz chyba, żeby pan Marcuso dowiedział się, że ściągałaś na zeszłorocznym teście zaliczeniowym.

— Nie możesz mnie szantażować — syknęła Hillary przez zaciśnięte zęby.

Al wybuchnął śmiechem.

— Czemu nie? Któż oprócz mnie mógłby to zrobić?

— Ale to ty dałaś mi ściągę! — broniła się Hillary. — Wcale cię o to nie prosiłam. Dałaś mi je.

— I skorzystałaś z nich, prawda? — zapytał radośnie Al. —

12

13

Gdyby jakiś mały ptaszek powiedział panu Marcuso, że ściągałaś, oblałby cię. I nie przyjęliby cię na tę fantastyczną uczelnię, która zaakceptowała twoją kandydaturę. Oj joj joj!

— Al, byłeś kiedyś fajnym chłopakiem — powiedziałam, kręcąc głową. — Jak stałeś się taki niezdolny?

Pociągnął mnie za włosy.

— Biorę przykład z ciebie! — odparł, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Przestań się włóczyć i męczyć ludzi — wtrąciła Taylor. Siedziała nadal za stołem.

Pomyślałam, że może stół służy jej za tarczę. Osłaniają przed Alem.

— No właśnie. Spadaj stąd — nalegałam. — Zobacz, czy cię nie ma za drzwiami.

Ale Hillary już grzebała w teczce. Wyjęła banknot dwudziestodolarowy i położyła go na wyciągniętej dłoni Ala.

— Kiedy mi je zwrócisz? — zapytała nie patrząc na niego. Trzy mała wzrok wbity w teczkę z zeszytami.

— Dobre pytanie — uśmiechnął się głupawo Al. — Poddaję się. Wsunął pieniądze do kieszeni spodni i ruszył do wyjścia.

— Bawcie się dobrze, dziewczyny!

Zdażył ująć zaledwie trzy kroki, gdy moja mama otworzyła oszklone drzwi.

— O! Dzień dobry pani — Al nie mógł ukryć zdziwienia. Znów zaczerwienił się po uszy.

Mama weszła do kuchni, dźwigając pod pachami dwie wielkie torby zakupów.

— Cześć! Wcześniej dziś wróciłam.

Al wziął od niej jedną torbę i zaniósł na blat kuchenny.

Mama postawiła drugą na podłodze. Odgarnęła włosy. Tak jak ja ma ciemnobrązowe włosy i wielkie, brązowe oczy, które są największym atutem naszej urody.

Mama mówi, że wyglądam zupełnie jak Demi Moore.

Zawsze gdy to słyszę, radzę jej, żeby kupiła sobie okulary.

— Dawno u nas nie byłeś — powiedziała mama do Ala.

— Byłem trochę zajęty — odparł.

Jego uszy w dalszym ciągu płonęły czerwienią. Wykrztusił „do widzenia” i pognął do wyjścia.

Mama odwróciła się do nas.

— Dlaczego Al ubiera się na czarno? — zapytała. — Czy ktoś mu umarł?

Nie zdążyliśmy jej odpowiedzieć. Nagle krzyknęła ze zdumienia i gwałtownym gestem wskazała na podłogę.

Natychmiast dostrzegłam, o co jej chodzi. Papieros Ala.

— Mamo... — zaczęłam.

Pochyliła się i podniosła niedopałek. Twarz mamy stężała ze złości.

— Jeszcze się pali.

— To papieros Ala — zawołałam. — My nie paliłyśmy. To Al!

— To prawda, proszę pani — potwierdziła Hillary.

Hillary i Taylor stały zakłopotane koło stołu. Wiedziałam, że najchętniej by znikły, rozplynęły się w powietrzu. Obie już miały okazję obserwować zachowanie mojej mamy, wpadającej w furję.

— Nie obchodzi mnie, kto palił — wycedziła mama przez zaciśnięte zęby, wymawiając każde słowo powoli i wyraźnie. — Kiedy mnie nie ma w domu, ty jesteś za wszystko odpowiedzialna i...

Zaniosła papieros do zlewu, żeby zgasić go pod wodą. Jęknęła głośno.

— Jeszcze puszka po piwie? — spytała podniesionym głosem.

— To Ala! — Taylor i ja zawołałyśmy zgodnie.

Zobaczyłam, że Hillary cofnęła się pod ścianę, próbując stać się niewidoczna na tle kwiecistej tapety.

— Po prostu wrzuciłaś ją do zlewu? — zapytała ostrym tonem.

Zaczęłam się tłumaczyć, ale to nie miało sensu. Wiedziałam, że i tak jestem w niezłych tarapatkach.

Nieważne, że to Al zostawił papierosa i puszkę po piwie. Myślę, że mama przestała mi ufać już trzy lata temu, kiedy przyłapała mnie i Hillary na paleniu.

Na pewno podejrzewała, że podczas jej pobytu w pracy, w domu dzieją się różne okropne rzeczy. A teraz wróciła wcześniej i utwierdziła się w swoim przekonaniu.

— Julio, zostaniesz w domu przez cały weekend — powiedziała mama ściszym głosem.

Widziałam, jak drgają jej mięśnie twarzy. Mówiła spokojnie, próbując opanować gniew.

— Nie! Tylko nie to — jęknęłam. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało aż tak rozpaczliwie, ale nic nie mogłam na to poradzić.

14

15

— Impreza! — zawołałam. — Zabawa u Revy. Mamo, jeśli nie pozwolisz mi wyjść, stracę tę imprezę!

Mama podniosła palec do ust.

— Ani słowa więcej!

— Nie możesz mnie zatrzymać! — protestowałam. — Mam już siedemnaście lat i nie będę...

— Nie życzę sobie, żeby twój koleś pili piwo i palili papierosy, kiedy mnie nie ma w domu — mama zaczęła krzyczeć, tracąc panowanie nad sobą. — Gdyby nawet ta zabawa miała być w pałacu Buckingham, to i tak byś na nią nie poszła. Zostaniesz w domu. Jeszcze jedno słowo i nigdzie nie wyjdiesz przez dwa tygodnie!

Zacisnęłam pięści i zawylałam ze złości. Hillary i Taylor stały za stołem, unikając mojego wzroku. Nie mogły ukryć zmieszania i widać było, że mi bardzo współczują.

To wszystko przez Ala, pomyślałam. Stał się wstrętnym padalcem. To jego wina.

Co za okropne popołudnie.

Przypuszczam, że zarówno Hillary, Taylor, jak i ja, czułyśmy się podobnie. Miałyśmy ochotę zabić Ala.

Oczywiście przez myśl nam nie przeszło, że za dwa tygodnie Al już nie będzie żył.

rozdział 3

Nie poszłam na imprezę.

Czy kiedykolwiek wybaczę to mamie? Może za kilka lat.

Hillary stwierdziła, że była to najlepsza zabawa w historii naszego liceum. Ta dziewczyna w ogóle nie ma serca.

Mogła mi powiedzieć, że spędziła tam najnudniejszą noc w swoim życiu. Ale nie. Opowiadała, że zespoły były niesamowite, że tańczyła do drugiej nad ranem, a potem wykapała się w podgrzewanym basenie Dalbych przy świetle księżyca. Twierdziła, że śmiała się chyba naj-

16

więcej w życiu. Nie zapomniała dodać, że wszyscy dopytywali się, dlaczego nie przyszłam. Poprosiłam Hillary, żeby nigdy więcej nie wspominała przy mnie o tej zabawie. To było tydzień temu i dotrzymała obietnicy aż do piątku, kiedy szliśmy razem po lekcjach do Canion Road, gdzie mieszka Sandy.

Na niebie wisiały niskie chmury deszczowe i wyglądało, jakby za chwilę miało zacząć padać. Było zimno i wilgotno, zupełnie jak w zimie, a nie na wiosnę.

— Nie rozumiem tej historii z Taylor i Sandym — zagadnęła Hillary.

Podrzuciłam na ramionach teczkę. Była wyładowana zeszytami z pracą domową na weekend.

— Czego nie rozumiesz? — spytałam, myśląc o pracy semestralnej z historii.

— Szkoda, że nie widziałas, jak zachowywali się na imprezie u Revy.

Przystanąłam i złapałam ją za rękaw niebieskiego swetra.

— Obiecałaś mi. Nie rozmawiamy o tej imprezie. Strząsnęła moją rękę.

— Nie mówię o imprezie, tylko o Taylor i Sandym.

— No dobrze... i co z nimi?

17

— Obserwowałam ich. To było żałosne. Sandy łaził wszędzie za Taylor jak chory z miłości

szczeniak, a ona rzadko kiedy raczyła się do niego odezwać. To znaczy, przez cały czas uganiała się za innymi chłopakami.

— Tak, ona lubi flirtować — przyznałam, przebiegając przez ulicę na migającym zielonym świetle.

— To było obrzydliwe — nie ustępowała Hillary. — Gdybyś widziała, jak ona tańczyła z Bobym Newkirkiem. Albo jak obściskała się za garażem z jakimś nieznanym mi chłopakiem.

— Orany! — mruknęłam. — A co na to Sandy?

— Biegał za nią i przynosił jej drinki — relacjonowała Hillary. — Nie wiem, o co tu chodzi. On nie mógł nie zauważyć, co ona robi. To było takie oczywiste! Zachowywała się tak, jakby Sandy'ego tam nie było, a on się do niej uśmiechał i nie odstępował jej ani na krok.

2—Tajemnicze wyznanie

— To jest prawdziwa miłość — powiedziałam kpiąco.

— To wcale nie jest śmieszne — ofuknęła mnie Hillary. — Przecież wiesz, że Sandy bierze wszystko na serio.

— Chciałabym, żeby Vincent był tak poważny jak on — mruknęłam pod nosem.

Hillary odwróciła się i zerknęła na mnie z ukosa.

— Co powiedziałaś?

— Nic takiego.

Pokiwałam głową. Wyobraziłam sobie Taylor flirtującą z chłopakami na imprezie. Kiedyś próbowałam podrywać Vincenta. Ale pomyślałam, że się zgrywam, i tylko z tego żartowałam.

— Sandy jest świetnym facetem — ciągnęła Hillary. — Ale sądzę, że...

— Ja uważam, że są dobraną parą — przerwałam jej. — Może Taylor trochę rozrusza Sandy'ego. On jest zawsze taki spokojny i nieśmiały. Nigdy przedtem nie miał dziewczyny i tak się tym przejmuje, że może go to trochę zmienić. Może...

Pomachałam dzieciakom wychylającym się z okien kolejki wiozącej je ze szkoły. Kiedy zniknęły mi z oczu, spostrzegłam zatroskany wyraz twarzy Hillary.

— Myślę, że Sandy nic nie obchodzi Taylor — upierała się Hillary. — Ona mu wyrządzi krzywdę. Na pewno rzuci go przy pierwszej lepszej okazji.

— Wiem, że on traktuje ten związek poważniej niż ona — przyznałam. — Ale czy nie za bardzo czepiasz się Taylor?

Hillary otworzyła usta ze zdziwienia.

— Czepiam się? O czym ty mówisz?

Skreśliłyśmy w Canyon Road. Okropnie tam wiało. Zza następnego rogu wyłonił się dom z czerwonej cegły, w którym mieszkał Sandy.

Miałam wrażenie, że Hillary jest troszeczkę zazdrosna o Taylor. Zanim Sandy zaczął z nią chodzić, Hillary była jedyną, oprócz mnie, dziewczyną w naszej paczce. A teraz zjawiała się Taylor. Miała piękne włosy, modne ciuchy i na dodatek była bardzo ładna i zgrabna. Od razu zwróciła na siebie uwagę chłopaków.

Więc może Hillary jest odrobinę zazdrosna.

Postanowiłam jednak nie ujawniać jej mojej teorii. Nie chciałam

zranić przyjaciółki, a poza tym, do końca tygodnia zanudzałyby mnie, próbując udowodnić, że to nieprawda.

— Taylor jest w porządku — powiedziałam zamiast tego. — To nie jest zła dziewczyna. Po prostu lubi się bawić. I nie wstydzi się tego.

Hillary prychnęła.

— Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.
Skręciłam na wyżwirowany podjazd, prowadzący do domu San-dy'ego. Ale Hillary zatrzymała mnie.

— Poczekaj — mruknęła, zerkając na dom.
— O co chodzi? — spytałam. Odwróciłam się i spojrzałam na nią.
— Al znowu mnie męczył — powiedziała.
— Czego chciał tym razem? Więcej pieniędzy? Pokręciła głową.
— Zmusił mnie, żebym pożyczyła mu samochód.
— Orany! — mruknęłam.

— Byłam na niego taka... taka wściekła, że musiałam to komuś powiedzieć — wyjąkała Hillary.

— Nie ma sprawy — odparłam. — Jestem przecież twoją najlepszą przyjaciółką.
— Bez przerwy wyludza ode mnie pieniądze, przepisuje notatki z historii, pożycza samochód — Hillary kipiała ze złości. Mówiła tak szybko, jak zwykle. — Ciagle czegoś ode mnie chce, a jeśli próbuję mu odmówić...
— Grozi, że powie twoim rodzicom o egzaminie z chemii — dokończyłam za nią. — Jedziemy na jednym wózku. Mnie też szantażuje.
— Nienawidzę siebie za to, że pozwałam mu się tak wodzić za nos! — jęknęła Hillary. Zacisnęła pięści.

— Sama jestem sobie winna. Nie powinnam była brać od niego tych ściągawek. Nigdy, przenigdy! To największa głupota, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

Patrzyłam ze zdziwieniem na przyjaciółkę. Znamy się już tyle lat i dotąd nie widziałam jej tak załamanej.

Objęłam ją ramieniem. Trzęsła się jak galareta!

18

19

— Uspokój się — powiedziałam łagodnie. — Mnie też szantażuje. Ale wkrótce mu się to znudzi. Na pewno.
Spojrzała na mnie z nadzieją.

— Znudzi się? Tak uważasz?
Pokiwałam głową.

— Al nie potrafi na niczym dłużej skupić uwagi. Zmęczy się malowaniem nas i znajdzie sobie jakieś inne ofiary. Zobaczysz.

Hillary milczała. Zastanawiała się nad czymś. Może rozważała to, co powiedziałam.

Ruszyliśmy w stronę domu. Żwir trząskał głośno pod naszymi butami. Podniosłam palec do dzwonka, lecz drzwi otworzyły się, zanim zdążyłam go nacisnąć.

Sandy wyrzwał zza progu. Miał bardzo zatroskany wyraz twarzy. Od razu zorientowałam się, że coś jest nie w porządku.

— Co się stało? — zapytałam.
— Słyszałyście już o Alu?

rozdział 4

— Co? — jęknęłam.

Ciarki przebiegły mi po plecach. Poczułam, jak mi sztywnieje kark.

— Wchodźcie. Szybciej — popędzał Sandy.

Przytrzymał drzwi i wśliznęliśmy się do pokoju gościnnego. Taylor i Vincent siedzieli po przeciwnych stronach obitej zieloną skórą kanapy. Mimo że była okropna pogoda, Taylor miała na sobie krótkie spodenki koloru khaki i kusą różową bluzkę, spod której było jej widać pępek. Przywitałam się z Taylor i Vincentem.

— Co z Alem? — zapytałam Sandy'ego.

— Zawiesili go w prawach ucznia — odparła Taylor.

— No właśnie — potwierdził Sandy, potrząsając głową. Zagryzł dolną wargę. Kiedy to robi, wygląda na znacznie młodszego.

Sandy jest niewysoki i trochę tłustawy. Ma sympatyczną twarz. Nie

jakąś szczególnie ładną, ale miłą. Moim zdaniem, wygląda jak nieśmiały, nerwowy dwunastolatek.

— Dlaczego? — zapytała Hillary. — Dlaczego go zawiesili?

Vincent uśmiechnął się.

— Zwinął w rulon pracę zaliczeniową z angielskiego i podpalił ją przed nosem pani Hirsch.

Hillary i ja westchnęłyśmy.

— Żartujesz! — zawołałam.

Vincent jeszcze bardziej wyszczerzył zęby.

— Tak. Żartuję. Pobił się z kimś.

— Nie mógłbyś choć raz zachować powagi? — zgromił go Sandy. Vincent pokręcił głową, że nie.

Taylor wyciągnęła rękę i trzepnęła Vincenta w ramię.

— Jesteś okropny! — stwierdziła.

— Dzięki — odparł Vincent.

Vincent cudownie się uśmiecha. Cała twarz promienieje mu wesołością. Ma zabójcze szarozielone oczy, zawsze pełne radości. Rdzawo-rude włosy, rozdzielone przedziałkiem, opadają mu do połowy szyi. W tej fryzurze wygląda naprawdę słodko.

Jest wysoki, potężny i niezgrabny, co w ogóle nie pasuje do jego twarzy. Ma wielkie ręce i nogi i porusza się jak fajtlapa.

Wygląda jak wielki niezdarny pajac. Ale jest czarujący. Mam bzika na jego punkcie. Zresztą chyba już o tym wspominałam.

Czasem, tak jak Sandy i inni, chciałabym, żeby Vincent przestał się bez przerwy wygłupiać. Nie ma się z czego śmiać, jeśli Ala rzeczywiście mają wylać ze szkoły. To poważna sprawa, która może zaciążyć na całym jego życiu.

— Al pobił się z Davidem Arnoldem — wyjaśnił Sandy. — Po lekcjach, na szkolnym korytarzu, koło sali gimnastycznej.

— Czy David nie należy do drużyny zapaśniczej? — zapytałam.

— Tak. I dlatego Al zdecydował się zaczepić właśnie jego. Najlepiej zbudowanego chłopaka w całej szkole. Niezbyt mądry pomysł, nie sądzicie? — powiedział Sandy.

— A może powinien pobić się z takim zdechlakiem jak ty? — zażartował Vincent.

Sandy warknął na niego.

20

21

— Przestańcie się w końcu zgrywać. Co się stało? — zapytałam zniecierpliwiona.

Vincent roześmiał się.

— Al kilka razy znokautował go z główki!

— To wcale nie jest zabawne — Sandy zazgrzytał zębami.

— Dlaczego nie? — wtrąciła Hillary.

Zaskoczył mnie uśmiech na jej twarzy. Bądź co bądź, Al był kiedyś naszym dobrym kumplem. Nie powinno mnie to jednak dziwić, zważywszy, jak bardzo Al męczył Hillary.

— Trochę się poszamotali i to wszystko — ciągnął Sandy. — Al oberwał znacznie bardziej niż David, ale gdy wreszcie zdołał go uderzyć, zza rogu wyszedł...

— Pan Hernandez? — zgadywałam.

Sandy skinął głową.

— Tak. Dyrektor. Zawiesił zatem w prawach ucznia Ala, a nie Davida. Na stałe. Tak przynajmniej mu powiedział. Rodzice Ala pewnie jadą teraz do szkoły.

— Jak wrócą, urządują Alowi niezłą łaźnię — powiedział Vincent.

— O rany! — mruknęłam, opadając na zielony skórzany fotel, stojący naprzeciwko kanapy.

— O rany!

— Możesz to powtórzyć jeszcze raz za mnie — powiedziała Hillary.

Zdjęła plecak i rzuciła go obok kanapy.

Taylor wstała i przeciągnęła się. Pogładziła się po gołym brzuchu, wystającym spod różowej bluzki. Kiedy ona zdążyła pójść do domu i przebrać się z tego, co miała na sobie w szkole? — zastanawiałam się. Dlaczego się ubrała w letnie ciuchy? Popisuje się?

— Nie mogę uwierzyć, że Al należał kiedyś do waszej paczki — powiedziała Taylor z wzrokiem wbitym w Sandy'ego. — To przegrany facet. Ma zupełnie poprzestawiane w głowie.

— Tak, zmarnuje sobie całe życie — przyznał Sandy.

— Jeśli każdemu jest dane tylko jedno życie do zmarnowania — powiedział Vincent, jak zwykle uśmiechnięty — lepiej, żeby to zrobił ze swoim własnym.

Taylor znów pogładziła się po brzuchu.

— Umieram z głodu — jęknęła. — Mogłabym dostać coś do jedzenia?

— Jasne. Nie ma sprawy — zawołał Sandy.

Wymieniłyśmy z Hillary spojrzenia. Miała rację. Wystarczy, że Taylor kiwnie palcem, a Sandy skacze dookoła i spełnia wszystkie jej zachcianki.

— Zdaje się, że widziałem gdzieś wielką paczkę chipsów — powiedział Sandy. — A w lodówce powinien być słoik salsy.

— Wiecie, że ludzie w Stanach Zjednoczonych kupują więcej salsy niż ketchupu? — zagadnął Vincent.

Puściliśmy to mimo uszu. Vincent zawsze zarzuca nas dziwaczными informacjami. Zwykle są prawdziwe, ale kogo to obchodzi?

Poszliśmy z Sandym do kuchni. Taylor spostrzegła leżącą na blacie kuchennym paczkę chipsów.

Otworzyła ją, zaczerpnęła pełną garść i zaczęła się obżerać.

Hillary obserwowała, jak Taylor sięga po drugą porcję i pochłania ją błyskawicznie.

— Jak to możliwe, że jesteś jeszcze chuda, skoro jesz takie ilości chipsów? — zapytała.

— Staram się zwymiotować co wieczór — odparowała Taylor.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Czasami Taylor naprawdę potrafi nas rozbawić.

Tymczasem Sandy mocował się ze słoikiem salsy. Wyteżał wszystkie siły i jęczał, próbując odkręcić pokrywkę. Potem odwrócił słoik do góry nogami i postukał nim o blat.

Nic z tego.

Cały czas zerkał na Taylor. Chyba był zakłopotany, że nie może sobie poradzić. Chłopcy mają fioła na punkcie swojej siły.

— Daj mi spróbować — zaproponowała Hillary.

Sandy zaczął protestować, ale Hillary wyrwała mu słoik.

Odkręciła pokrywkę bez żadnego wysiłku. Uśmiechnęła się tryumfalnie.

— Jestem superwoman!

Sandy spiekl raka. Nie powinien się przejmować takimi głupotami. Ale widać było, że poczuł się upokorzony.

— Poluzowałem nakrętkę — wymamrotał. Hillary zgięła rękę w łokciu i naprężyła mięśnie.

— Spójrzcie na moje mięśnie. Ćwiczę każdego ranka — chwaliła

22

23

— Ćwiczy pompki na języku — zażartował Vincent.

— Bardzo śmieszne — odparła Hillary drwiąco. Zanurzyła chipsa w salsie i podała słoik Taylor.

— Powinniście wpaść do mojej piwnicy — powiedziała Hillary.

— Tata kupił cały sprzęt do ćwiczeń. Codziennie rano, przed lekcjami trenuję przez pół godziny. Założę się, że jestem w lepszej formie, niż którykolwiek chłopak z naszego liceum.

To typowe dla Hillary. Zawsze musi być we wszystkim najlepsza. Sandy chciał coś powiedzieć, ale przerwało mu głośnie walenie do drzwi.

Wszyscy naraz rzuciliśmy się do okna.

Gdy zobaczyłam na schodach Ala, serce podskoczyło mi do gardła. — Czego on może chcieć?

— zachodziłam w głowę. Dlaczego tak dziwnie wygląda?

rozdział 5

Sandy ruszył do drzwi.

— Lepiej go nie wpuszczaj — ostrzegła Hillary.

Al walił wielką pięścią w oszklone drzwi. Zacisnęłam zęby, czekając aż pęknie szyba.

— Hej! Jesteście tam? — wołał. — To ja! Sandy trzymał rękę na zamku. Zawahał się.

— Dlaczego on się tak drze?

— Chyba jest pijany — powiedziała Taylor, stając za Sandym.

— Musimy go wpuścić — wtrącił Vincent. — Przecież na nas patrzy. Nie możemy udawać niewidzialnych. Będzie tu sterczał przez cały dzień.

— Hej! Otwórzcie! Hej, paskudne padalce! To ja.

Al rąbnął ramieniem o drzwi. Hillary krzyknęła przestraszona.

— Muszę go wpuścić — jęknął Sandy. — Ten wielki palant roz wali szybę.

24

Sandy przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

Al z szaleństwem w oczach wparował do kuchni.

— Dlaczego nie otwieraliście? — zapytał cedząc słowa. Przenosił wzrok kolejno na każde z nas.

— Nie słyszeliśmy cię — powiedział Sandy. Niezła bajeczka.

— Co?

Al zatoczył się, jakby miał trudności z utrzymaniem równowagi. Zerknął zezem na Sandy'ego.

— Jest kompletnie pijany — szepnęłam do Hillary.

— Jak świnia — mruknęła Hillary.

Al przepchnął się obok Sandy'ego i na trzęsących się nogach podszedł do lodówki.

— Macie jakieś piwo? — zapytał otwierając drzwi.

— Hej! Zostaw to! — zawołał Sandy, próbując powstrzymać Ala. Al obrócił się na pięcie i o mało nie upadł.

— Nie macie piwa? Widziałem opakowanie po piwie na dolnej półce.

— Nic z tego. Przykro mi — powiedział Sandy z napięciem w głosie. Chciał zamknąć drzwi lodówki, ale Al uwiesił się na nich całym ciężarem ciała.

Sandy obejrzał się nerwowo na Taylor. Potem odwrócił się do Ala. Położył rękę na jego ramieniu.

— Usiądź, dobrze?

Al brutalnie zrzucił rękę Sandy'ego.

— Odwal się — wymamrotał, groźnie zniżając głos. Spojrzał na Sandy'ego nieprzytomnym wzrokiem.

— Odwal się. Nie dotykaj mnie.

— Al, uspokój się — wtrąciłam, podchodząc do nich. — Słyszeliśmy, co się stało w szkole. Przykro nam. Miałeś pecha.

Al nie usłyszał chyba ani słowa z tego, co mówiłam. Stał w jaskrawym świetle padającym zza drzwi lodówki i z nienawiścią patrzył na Sandy'ego. Mimo że było zimno, jego czoło błyszczało od potu.

Taylor i Vincent zamarli w bezruchu. Sterczeli przerażeni koło stołu. Hillary, z kamienną twarzą i założonymi rękami, stała na środku pokoju. Spod nieruchomych powiek wpatrywała się w Ala. Sandy ponownie spróbował odciągnąć Ala od lodówki. Al machnął wielkim ramieniem i odepchnął go.

25

— Nie podoba mi się twoje spojrzenie — warknął wściekle.

— Al, proszę cię... — błagał Sandy.

— Nie wyobrażaj sobie, że jesteś lepszy ode mnie — mruknął Al

z groźbą w głosie.

Sandy cofnął się o krok. Jest przynajmniej o głowę niższy od Ala i znacznie słabszy.

— Nie wyobrażaj sobie, że jesteś lepszy — powtórzył Al. — Wydaje ci się, że jesteś lepszy? Myślisz, że jesteś świetnym gościem?

— Proszę cię, Al, zamknij lodówkę i usiądź — nalegał Sandy wycofując się w stronę stołu.

— Nic ci nie zrobiliśmy — wtrąciłam, usiłując odwrócić jego uwagę od Sandy'ego. — Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Nie spuszczał wzroku z Sandy'ego.

— Sądzisz, że jesteś lepszy ode mnie? Że jesteś taki pociągający, bo Taylor udaje, że cię lubi?

— Al, zamknij się — zawołała piskliwie Taylor zza naszych pleców.

— Tak, zamknij się — zagrzmiała Hillary zimnym, pełnym napięcia głosem.

— Jesteś małym, tłustym mięczakiem — syknął Al.

Sandy zrobił się czerwony jak burak. Nabrzmiały mu żyły na szyi. Al zachichotał. Nie wiem, co go tak rozbawiło.

— Tłusty mięczak — powtórzył szeptem.

Prowokuje Sandy'ego. Chce go zmusić, żeby zareagował.

— Hej, Al, nie dosyć bójek jak na jeden dzień? — zagadnęła Vin-cent.

— Proszę, zamknij drzwi lodówki — powiedział Sandy przez zaciśnięte zęby.

Al wykrzywił twarz w obrzydliwym uśmiechu.

— Sam zamknij.

— Sandy! Nie! — zawołałam.

Za późno. Sandy chwycił Ala za nadgarstek i odciągnął go od lodówki.

Al zaklął i machnął wolną ręką.

Zachwiał się tracąc równowagę, ale jego pięść wylądowała na twarzy Sandy'ego.

26

Sandy krzyknął, zrobił krok do tyłu i złapał się za policzek.

Al rzucił się na drzwi lodówki i z powrotem się ich uczepił. Ciężko dyszał, pot kapał mu z czoła. Rozszerzonymi z wściekłości oczami wpatrywał się w Sandy'ego. Obserwował, czy ten ma mu zamiar oddać.

Z ust Sandy'ego pociekła na podłogę strużka jasnoczerwonej krwi. Miał rozcięty policzek.

— Mój ząb... — Sandy wypluł więcej krwi. — Wybiłeś mi ząb.

Al potarł dłonią zaciśniętą pięść. Nie spuszczał wzroku z Sandy'ego.

Sandy patrzył na niego, trzymając się za policzek. Z ust leciała mu krew. Usłyszałam za plecami krzyk wściekłości. Zdażyłam się odwrócić, by zobaczyć, jak Hillary rzuca się na Ala.

— Nie! — zawylałam. — Hillary, przestań!

Hillary z całej siły pchnęła Ala na lodówkę.

Chrząknął zdziwiony. Potem przez jego spoconą twarz przebiegł cień uśmiechu. Złapał Hillary za rękę.

— W porządku — powiedział sapiąc. — W porządku. Nie ma sprawy. Z tobą też się będę bił.

rozdział 6

Trzymali się oboje za ramiona i ciężko dysząc patrzyli sobie w oczy.

— Będę się z tobą bił. Wszystko mi jedno. Będę się bił — powtarzał Al.

Nagle szarpnął próbując ją odepchnąć.

Ale Hillary była silniejsza, niż przypuszczał. Trzymała go za ramiona i nie mógł się uwolnić.

— Będę się z tobą bił. Chcesz się bić? Będę się bił — groził. Jego oczy przybrały jednak łagodniejszy wyraz. Całe ciało zdawało się rozluźniać.

Puścił Hillary. Ręce mu opadły.

Patrzył na nią, chwiejąc się na nogach. Łapczywie chwycił powietrze. Pod przepoconą czarną koszulką podnosiła się i opadała klatka piersiowa.

27

Hillary nie odsunęła się. Stała z zaciśniętymi pięściami. Długi warkocz miała przerzucony przez ramię, czarne włosy zasłaniały jej twarz. Nawet nie próbowała ich odgarnąć.

Al wzruszył ramionami.

— Dobra, dobra. Zapomnijcie o tym piwie.

Obszedł dookoła Hillary i poklepał Sandy'ego po ramieniu, tak mocno, że ten się zatoczył. Al z tryumfalnym uśmiechem na ustach ruszył do wyjścia.

— Niezłych miałem przyjaciół — mruknął. — Nawet zasranego piwa nie można dostać.

Zaklął pod naszym adresem i wychodząc trzasnął drzwiami. Taylor i Vincent od razu podbiegli do Sandy'ego.

— Zamoczę chusteczkę w zimnej wodzie — powiedziała Taylor i poszła do łazienki.

Vincent podsunął Sandy'emu krzesło.

— Musisz pójść do dentysty z tym zębem. A szrama na policzku nie jest zbyt głęboka — zapewnił go. — Nie powinna oszpecić twojej pięknej twarzy.

Pomyślałam, że Vincent ma rację, nie pozwalając nam popaść w wisieleczy nastrój.

Uspokoiliam się trochę. Ręce miałam nadal lodowate, ale przynajmniej serce przestało mi łomotać.

Odwrociłam się do Hillary i zamarłam w bezruchu.

Nie ruszyła się sprzed lodówki. Stała nieruchomo, trzymając dłonie zaciśnięte w pięści. Była potwornie spięta.

Patrzyła prosto przed siebie, w pustkę. Tak mocno przygryzła dolną wargę, że zaczęła krwawić.

— Hillary...? — szepnęłam.

Nie słyszała mnie. Wyglądała, jakby była w transie.

— Hillary...?

Gdy na nią patrzyłam, dreszcz przebiegł mi po plecach. Nigdy nie widziałam na jej twarzy tyle nienawiści. Jeszcze nie widziałam tyle nienawiści na niczyjej twarzy.

Zastanawiałam się, jak bardzo Al musiał ją skrzywdzić. I jak bardzo go za to nienawidzi.

* Nie widziałam Ala przez kilka dni od tego okropnego popołudnia. Słyszałam od jego kolegów, że zawiesili go w prawach ucznia tylko na dwa tygodnie.

To okropne, ale muszę przyznać, że byłam zadowolona nie widując go w szkole. Nareszcie nie musiałam się bać, że zaczepi mnie na korytarzu, wyłudzając przeznaczone na obiad kieszonkowe, notatki z historii czy cokolwiek innego.

Nie rozmawiałam o tym z Hillary, ale jestem przekonana, że czuła się podobnie.

W czwartek po lekcjach wybierałam się do Vincenta. Mieliśmy

razem przeprowadzać doświadczenia z chemii.

Miałam nadzieję, że może uda nam się uzyskać specjalny związek chemiczny, który wpłynie na nasze wzajemne stosunki. Ha, ha, ha..

Zagadałam się jednak z Corkym Corcoranem. Zamierzałam wziąć udział w organizowanym przez niego wiosennym myciu samochodów. Dotarłam zatem do Vincenta dopiero o wpół do piątej.

Był ciepły, wilgotny dzień i większość drogi biegłam. Ku mojemu zdziwieniu, zastałam Vincenta przed domem. Chodził nerwowo tam i z powrotem.

— Przepraszam, że się spóźniłam — zawołałam, odgarniając włosy. Poczułam, że wplątało mo się w nie coś szeleszczącego i łusko-watego Wyciągnęłam to i wzdrygnęłam się z obrzydzenia. Wielka szara

ćma.

Niezła niespodzianka, gdy chcesz jak najlepiej wyglądać, spotykając się z chłopakiem swoich marzeń!

Vincent burknął „cześć”. Patrzył na ulicę za moimi plecami.

Myślałam, że może dostrzeże nowe, seksowne wiosenne wdzianko, które miałam na sobie.

Krótką, niebieską plisowaną spódniczkę, w stylu lat sześćdziesiątych, i bluzkę bez rękawów w niebiesko-czarne paski. Kupiłam to w nowym sklepie na ulicy Grunge. Ubranie czekało w szafie aż do dnia, kiedy miałam się spotkać z Vincentem sam na sam.

Ale oczywiście nawet na mnie nie spojrział.

— O co chodzi? — zapytałam. — Co tu robisz? Myślałam, że zająłeś się doświadczeniem.

— Co? Chciałabyś, żebym odwalil za ciebie całą robotę?

28

29

O rany, ale zrzędzi. To wcale do niego niepodobne. Co się stało z naszym żartownisiem?

— No dobra, to co tu robisz? — dopytywałam się. — Wyszedłeś zaczerpnąć świeżego powietrza?

— Dobrze by było — mruknął gorzko. — Czekam na Ala. Spóźnia się.

— Na Ala? — nie mogłam ukryć zdziwienia.

— Tak. Na tego wielkiego padalca.

Vincent spojrział na mnie spode łba i kopnął ze złością mały kamyk. Zdjęłam plecaczek z ramion i rzuciłam na trawę. Obciągnęłam nową bluzkę.

— Dlaczego czekasz na Ala przed domem?

— Bo wziął samochód mojej mamy. Zamurowało mnie.

— Ukradł go?

— Nie, pożyczyłem mu — odparł Vincent, potrząsając głową. —

To znaczy, zmusił mnie, żebym mu go pożyczył.

— O rany! — wymamrotałam, z trudem przelękając ślinę.

Wielki Al znowu rusza do ataku.

— Obiecał, że zwróci go o wpół do czwartej — lamentował Vincent. — Miał na mnie czekać w domu, kiedy wrócę ze szkoły.

Szarzielone oczy Vincenta uważnie śledziły ulicę. Rozglądał się w obie strony. Ciepły wiatr rozwiewał włosy koloru rdzy. Wyglądał prześlicznie. Miałam ochotę pocałować go i powiedzieć, żeby się nie martwił.

Myślicie, że mogłabym to zrobić?

— Rodzice mnie zamordują, jeśli dowiedzą się, że pożyczyłem ich samochód temu idiocie! — zawołał Vincent. — Nie żartuję.

Naprawdę mnie zamordują.

— To dlaczego mu go pożyczyłeś? — zapytałam łagodnie. Spojrzał na mnie spode łba. Zawsze był radosny. Przykro mi było oglądać go w takim stanie.

— Zrobiłem straszne głupstwo — wyznał. — W sobotę wieczorem wzięłem samochód rodziców, nic im o tym nie mówiąc. Byli na jakimś przyjęciu, a ja poczułem ogromną ochotę, żeby się przejechać. Wiesz, o co chodzi. Opętało mnie coś w rodzaju wiosennej gorączki. Wsiadłem w samochód i zrobiłem rundkę po mieście.

Chyba jechałem za szybko, bo dwie przecznice przed domem zatrzymał mnie policjant. Dostałem mandat za przekroczenie prędkości. Rachunek na pięćdziesiąt dolarów. Nieźle, nie? I kto przechodził obok, gdy rozmawiałem z policjantem? Nietrudno zgadnąć. On. Al.

— Niewesoło — mruknęłam.

— Policjant odjechał — ciągnął Vincent. — Powiedziałem Alo-wi, że już nigdy mnie nie zobaczy, bo rodzice mnie zamordują. Nie dość, że wzięłem samochód bez pytania, to jeszcze wlepili mi mandat.

Ciemna chmura przesłoniła słońce. Nad trawnikiem przed domem położył się niebieski cień. Spojrzenie Vincenta także zrobiło się mroczne.

— Al zapewnił mnie, że to nic wielkiego. Że pomoże mi i rodzice nigdy się o niczym nie dowiedzą.

— I co zrobił? — zapytałam.

— Wziął ode mnie rachunek i podarł go na strzępy. Mówił, że komputery policyjne nigdy nie działają, jak należy. Rodzice nie dowiedzą się o mandacie.

— Niezła pomoc — mruknęłam.

— Może miał rację — przyznał Vincent. — Ale potem zjawił się tu wczoraj i zmusił mnie, żebym mu obiecał pożyczyć samochód mamy. Powiedział, że będzie go potrzebował dzisiaj tylko przez dwie godziny. Zagroził, że jeśli się nie zgodzę, powie moim rodzicom o sobotniej przejażdżce i o podartym mandacie.

— Ciebie też szantażował!

— Nie miałem wyboru — lamentował Vincent. — Pozwoliłem mu wziąć samochód. I tyle go widziałem. Samochód służbowy przywozi mamę z biura tuż po piątej. Jeśli do tego czasu jej samochodu nie będzie w garażu...

— Będzie — chciałam go pocieszyć, ale nie zabrzmiało to chyba zbyt przekonująco. Nie ufałam Ałowi. Nic w tym dziwnego.

Obserwowaliśmy ulicę. Próbowaliśmy zmienić temat. Przypomniałam o eksperymencie z chemii, ale Vincent nie mógł skoncentrować uwagi na niczym innym oprócz czekania. Co chwilę spoglądaliśmy na zegarki, obserwując wskazówki pędzące w kierunku piątej.

Za pięć piąta usłyszeliśmy w dole ulicy jakiś klekot. Szczękanie metalu o metal. Gdy samochód wjechał za bramę, rozpoznałam siedzącego za kierownicą Ala. Vincent głośno zaczerpnął tchu. Szczęka opadła mu ze zdziwienia prawie do ziemi. — O, nie! — jęknął. — To niemożliwe!

rozdział 7

— To nie moja wina! — zawołał Al, wysuwając głowę przez okno samochodu.

Zahamował i stanął tuż przed nami.

Przód samochodu był zupełnie skasowany. Lewy przedni błotnik wgnieciony. Maskę całą poharatano. Koniec zderzaka włókł się po ziemi.

Vincent nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Myślę, że był w szoku. Usta miał nadal szeroko otwarte i głośno przetykał ślinę.

Położyłam rękę na jego ramieniu. Chciałam powiedzieć coś uspokajającego i pocieszającego, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Vincent powoli przenosił wzrok z jednej strony samochodu na drugą, oglądając pokiereszowaną maskę i błotnik oraz klekoczący zderzak. Był tak nieszczęśliwy, że prawdopodobnie nie wiedział nawet, że stoję za nim.

— To naprawdę nie moja wina — powtórzył Al.

Wysiadł z samochodu, ubrany jak zwykle na czarno. Czarna czapka baseballowa przykrywała jego jasne włosy.

Drzwiczki od strony kierowcy zazgrzytały przeraźliwie. Dostrzegłam, że też były popsute.

— Nnnie twoja wina? — wyjąkał Vincent.

— Nie zauważyłem znaku stopu. Zasłaniała go gałąź z trzema liśćmi. Naprawdę. Skąd mogłem wiedzieć, że tam jest znak? To nie moja wina.

Vincent wydał z siebie przeciągły jęk. Patrzył na zniszczony samochód kręcąc głową.

Uśmiech rozjaśnił twarz Ala.

— Przynajmniej zwróciłem ci go w terminie!

Vincent stracił panowanie nad sobą.

Rzucił się na Ala jak jakieś dzikie zwierzę. Zaczął go bić, wrzeszcząc przy tym i klnąc.

Przez chwilę stałam jak sparaliżowana. Byłam zaszokowana. Przerazona.

Potem podbiegłam do nich. Vincent był do mnie odwrócony plecami. Złapałam go w pasie i pociągnęłam do tyłu.

— Przestań! Vincent, przestań! — wyłam.

Odciągnęłam go od Ala. Nadal szamotał się jakby był wściekłym lwem.

— Puść mnie, Julio! Puszczaj! — próbował się wyswobodzić.

— Vincent, proszę! Proszę cię! — błagałam.

Al upadł na samochód. Widziałam, jak się podnosi. Obciągnął czarną koszulkę i podniósł czapkę z ziemi. Jego małe niebieskie oczka zwały się złośliwie. Z twarzy tryskała wściekłość.

— Puszczaj! — jęczał Vincent.

Wzmocniłam uścisk.

— Nie, Vincent! Zostaw go! Przecież on cię pobije! — nie ustępowałam. — Nie masz z nim szans. Pobije cię!

— Ale to mu nie może ująć na sucho! — zawołał Vincent. — Nie może!

Odwróciłam głowę.

Ku mojemu zdziwieniu Al obrócił się na pięcie i wybiegł za bramę. Bez słowa skręcił na ulicę i biegnąc znikł za wysokim żywopłotem. Nawet się nie obejrzał. To było w czwartek. Następnego nocy, w piątek, zabiłam go.

32

część druga

rozdział 8

No tak... niektórzy myślą, że to ja go zabiłam. Ale oczywiście tego nie zrobiłam.

W piątek po kolacji zadzwoniłam do Vincenta. Przywitał mnie ponurym głosem. Nawet przez telefon słychać było w jakim jest dołku. Próbowałam go rozweselić.

— Wybieramy się na rolki na Tor Shadyside — powiedziałam. — Idziesz z nami?

Vincent na rolkach to dopiero widowisko! Kręci się w kółko i macha rękami jak szalony. Jeździ pięć razy szybciej niż ktokolwiek inny. Budzi powszechne przerażenie, bo jest okropnym fajtlapą!

Nie mogłabym zliczyć, ile razy musieliśmy zeszkrobywać go ze ściany i podnosić z podłogi, kompletnie potłuczonego i oszołomionego. On po prostu nie potrafi niczego robić poważnie. Zawsze chce być zabawny. Nawet wtedy, gdy ryzykuje, że zrobi z siebie dumnia.

— Nie mogę — jęknął Vincent. — Nigdzie nie mogę wychodzić. Jestem uziemiony. Na zawsze.

— O, nie! — mruknęłam. — Z powodu samochodu?

— Tak. Z powodu samochodu — powtórzył Vincent zrozpaczonym głosem. — Jestem uziemiony na wieki. Nigdy was już nie zobaczę — westchnął. — I to jeszcze nie wszystko. Wzięłam głęboki oddech.

— A co jeszcze?

— Nie będę mógł w wakacje być wychowawcą na obozie letnim — odparł Vincent.

Był zupełnie załamany. Wiedziałam, że bardzo zależało mu na tej pracy.

— Całe lato spędzę w Shadyside, pracując w sklepie ojca. Muszę odpłacić przynajmniej część pieniędzy za zniszczony samochód.

— To znaczy, że nie dostaniesz pieniędzy, które zarobisz? — zapytałam.

— Nie dostanę.

Mówił tak cicho, że musiałam przycisnąć do ucha słuchawkę, żeby go słyszeć.

— Całe pieniądze zabierze tata, żeby naprawić to, co ten kretyń Al zniszczył.

— O, rany! — szepnęłam.

Było mi strasznie żal Vincenta. Przecież to Al rozwalił samochód, a nie on. Vincent nawet nie chciał mu go pożyczyć.

— Al powinien zapłacić za samochód — stwierdziłam. Vincent gorzko się roześmiał.

— Idź mu to powiedz!

W słuchawce zapanowało milczenie. Słyszałam tylko oddech Vincenta. Próbowałam wymyślić coś pocieszającego.

Martwiłam się o niego. Naprawdę. Pierwszy raz zdarzyło się, że podczas rozmowy nie powiedział nic śmiesznego. Miałam wrażenie, że się bardzo zmienił. Wyglądało na to, że jest w strasznej depresji.

I to wszystko z powodu tego idioty Ala.

— Mogę do ciebie przyjść? — zaproponowałam. — Nie muszę iść na rolki. Możemy po prostu pogadać.

— Nic z tego — odparł żałośnie. — Nie mogę nigdzie wychodzić ani przyjmować gości. Zupełnie jak w więzieniu. Jestem więźniem.

— No to może... — zaczęłam, ale usłyszałam, że tata krzyczy na niego.

— Dobra, dobra! Daj mi spokój! Już kończę — zawołał Vincent do ojca. — Muszę kończyć — powiedział do mnie. — Pozdrów wszystkich.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Rodzice Vincenta zapomną o tym, pomyślałam. Uspokoją się i pozwolą Vincentowi wrócić do normalnego życia. Przed domem zatrąbił klakson. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam niebieski samochód Hillary. Przejechałam szczytką po włosach, złapałam rolki i zbiegłam na dół.

— Cześć!

Wśliznęłam się na przednie siedzenie. Taylor i Sandy siedzieli z ty-

36

37

łu, przytuleni do siebie. Jej jasne, prawie białe włosy opadały na jego ramię. Zobaczyłam w przelocie, że ubrana była w bluzkę bez rękawów, niebieskie szorty i ciemne rajstopy.

— Przyjdzie Vincent? — zapytała Hillary, wycofując samochód z naszego podwórka.

— Vincent nie może wychodzić z domu — odparłam i opowiedziałam im całą historię.

Gdy skończyłam, Hillary i Taylor wybuchnęły złością na Ala. Uznały, że rodzice Vincenta byli okropnie niesprawiedliwi. Sandy wydał mi się dziwnie spokojny.

Tor był strasznie zatłoczony, nawet jak na piątkowy wieczór. Spotkałam mnóstwo ludzi z naszego liceum i tłum młodszych dzieciaków. W Shadyside nie ma zbyt dużo miejsc, dokąd można pójść wieczorem. Tor wrotkarski jest jednym z niewielu, gdzie się można spotkać ze znajomymi.

W zimie, kiedy jest tu lód, przychodzimy jeździć na łyżwach i przesiadywać przy kawie albo gorącej czekoladzie. Lód usunięto dopiero dwa tygodnie temu. Dzieciaki nie mogły się doczekać, żeby wypróbować swoje nowe rolki.

Usiedliśmy na długiej ławce ciągnącej się wzdłuż toru i zakładaliśmy rolki. Taylor miała kłopoty z zawiązaniem swoich wystarczająco mocno. Sandy ukląkł obok i pomógł jej.

Rozbawiło mnie to. Sandy ze wszystkich sił starał się być uczynny, chociaż Taylor traktowała go jak niewolnika.

Byłam pewna, że Vincent zażartowałby z tego. Dałby wycisk Sandy'emu i rozbawiłby nas.

Jak na razie, wcale nam nie było do śmiechu. Przypuszczam, że wszystkim, tak jak mnie, było żal Vincenta. Al dał się we znaki każdemu z nas i niewiele mogliśmy na to poradzić.

Odgarnęłam włosy z twarzy i wyjechałam na tor. Postanowiłam, że spróbuję zapomnieć o Alu, Vincencie oraz wszystkim innym i postaram dobrze się bawić.

Mam nogi silne w kostkach i całkiem nieźle jeżdżę na rolkach. Uwielbiam to robić, nawet jeśli mogę poruszać się tylko w kółko po torze.

38

Tego dnia byłam jednak w nie najlepszej formie. To znaczy, nie jeździłam od ostatniego upadku.

No i tor był strasznie zatłoczony.

Zrobiłam kilka kółek, ślizgając się dosyć chwiejnie. Chyba musiałam się rozpędzić za szybko. Nie byłam na to przygotowana.

— Oj! — zawołałam, skręcając zbyt gwałtownie.

Wpadłam na szczupłego rudego chłopca. Podrzucił ręce do góry i krzyknął ze złości.

Przewróciliśmy się. Upadłam na niego. Jęknął z bólu i ze zdziwienia.

— Przepraszam — wykrztusiłam, z trudem łapiąc powietrze.

Czyżbym zmiażdżyła tego chłopca?

Podniosłam się i pochyliłam nad nim, żeby pomóc mu wstać. Dopiero teraz go poznałam.

To Artie Matthews. Jeden z bliźniaków, którymi się kiedyś opiekowałam.

Po chwili podjechał do nas Chucky, jego brat. Spojrzał najpierw na Artiego, potem na mnie.

W jednej chwili przypomniałam sobie, jak bardzo nienawidziłam tych chłopców. Pomyślałam, że muszą mieć teraz ze dwanaście lat. Użerałam się z nimi, kiedy mieli dziewięć.

Wyglądali jak aniołki, ale wcale nimi nie byli.

Gdy tylko ich rodzice zamykali drzwi, zaraz zaczynali się wściekać. Bili się, męczyli psa, robili potworny bałagan w domu, nie chcieli iść spać.

— Nic ci się nie stało? — zapytałam Artiego.

— Nie mogłabyś trochę uważać? — warknął na mnie, rozcierając łokieć.

— Julio, co ty tu robisz? — wtrącił Chucky. — Nie jesteś za stara, żeby jeździć na rolkach?

Wybuchnęli jazgotliwym chichotem. Ha, ha, ha. Bardzo zabawne.

Upewniłam się, że Artiemu nie jest potrzebna pomoc, i pojechałam poszukać Hillary.

— Naucz się jeździć! — zawołał za mną Artie.

Znów usłyszałam ich obrzydliwy śmiech.

— To nie są przypadkiem te dzieciaki, którymi się zajmowałaś?

— zapytała Hillary, gdy ją dogoniłam.

Skinęłam głową.

— Przed chwilą poturbowałam jednego z nich. Ale nie wystarcza
jąco mocno!

39

Pomachałam ręką do przejeżdżających obok koleżanek ze szkoły. Usiłowałam utrzymać taki rytm jazdy, jak Hillary.

— A gdzie Sandy i Taylor? — zapytałam, szukając ich wzrokiem w tłumie jeżdżących.

Hillary wskazała ręką.

Nadal siedzieli na ławce. Byli spleceni jak dwie ośmiornice. Taylor prawie na nim leżała.

Całowała go, a jej jasne włosy opadały mu na twarz.

Zapatrzyłam się na nich przez dłuższą chwilę i omal nie wpadłam na ścianę.

— Może ona naprawdę go lubi — powiedziała Hillary z nadzieją w głosie.

— Może — powtórzyłam.

Chwilę później Taylor i Sandy zniknęli. Nie wiem, po co w ogóle brali rolki.

Jeździłyśmy z Hillary jeszcze ze dwadzieścia minut. Potem spotkałyśmy znajomych i przystanęłyśmy z nimi przy bufecie.

Hillary dostrzegła w tłumie kolegę z Waynesbridge. Zamachała do niego i poszła z nim porozmawiać.

Zawiązałam znowu sznurowadła, przygotowując się do dalszej jazdy. Mrówki chodziły mi po nogach. Mięśnie pulsowały. Czułam się świetnie. Potrzebowałam trochę ruchu. Przez całą zimę

nie uprawiałam żadnego sportu.

— Hej, posłuchaj — powiedziała Hillary, kładąc mi rękę na ramieniu. — Wybieram się z Johnem na imprezę.

Wskazała wysokiego i chudego chłopaka z Waynesbridge. Był ubrany w luźną czerwoną bluzę i wielkie workowate dżinsy.

— Pójdiesz z nami? Jesteś zaproszona. Potrząsnęłam głową.

— Nie. Idźcie sami. Mam ochotę jeszcze pojeździć. Spojrzała mi z bliska w oczy.

— Na pewno nie będziesz miała mi za złe, że zostawiam cię samą?

— Hillary, nie ma sprawy — uspokoiłam ją. — Naprawdę chcę jeszcze potrenować. Ktoś mnie podrzuci do domu albo wrócę autobusem.

40

Odprowadziłam ich wzrokiem do wyjścia. Wyjechałam na tor. Szkoda, że Vincent nie mógł przyjechać. Nie chodziło mi o to, że zostalibyśmy sami. Po prostu było mi go brak.

Jeździłam około pół godziny. Świetnie się bawiłam. Wspaniale jest, od czasu do czasu, pozwolić popracować mięśniom nóg. Poza tym na torze mieli bardzo dobre nagłośnienie i puszczała fajną muzykę.

Było chyba wpół do jedenastej, kiedy postanowiłam iść do domu. Nie znalazłam nikogo, kto mógłby mnie podrzucić na ulicę Strachu. Policzyłam drobne na bilet. O tej porze autobus nie jeździ zbyt często, ale miałam nadzieję, że nie będę musiała długo czekać.

Wrzuciłam rolki do plecaka i wyszłam z hali sportowej tylnymi drzwiami. Chciałam pójść na przystanek krótszą drogą.

Znalazłam się w wąskiej alejce. Zrobiło się zadziwiająco zimno. Albo może byłam zgrzana po jeździe na rolkach. Czulałam mrowienie w nogach. Pomiędzy budynkami wisiał mały, sierpowaty księżyc. Jedyna latarnia rzucała na chodnik snop żółtego światła.

Słyszałam pisk opon i głosy dochodzące z pobliskiej ulicy. Za moimi plecami rozlegało się dudnienie głośników z toru wrotkarskiego.

Zrobiłam pięć, a może sześć kroków i nagle stanęłam jak wryta.

Rozpoznałam twarz Ala.

To była pierwsza rzecz, jaką zobaczyłam. Jego twarz.

Podniosłam ręce do policzków i zamarłam w bezruchu.

Twarz Ala.

Dlaczego on leży na plecach?

Dostrzegłam rozrzucone bezładnie nogi. Jedno kolano było uniesione do góry.

Ręce miał wyciągnięte po bokach, dłonie zaciśnięte w pięści.

Dopiero potem zauważyłam rolki. Ich sznurówki okręcone wokół szyi Ala. Zaciśnięte tak mocno, że aż mu oczy wyszły z orbit.

Wytrzeszczone oczy wpatrywały się nieruchomo w księżyc.

Twarz Ala była bardzo blada. W słabym świetle latarni wyglądała upiornie.

Sznurówki były zaciągnięte. Ściśle oplatały jego gardło. Wrzynały się w szyję.

I jedna rolka, jej czubek, wbity w usta. Wsadzony tak mocno, że reszta buta sterczała prosto do góry.

Al. Leży tu martwy. Zaduszony sznurówkami rolek. Zadławiony i uduszony.

Nie żyje.

41

— Ooooooch! — jęknęłam przeciągle.

Mój głos zabrzmiał tak, jakby wydobył się z gardła zwierzęcia, a nie człowieka.

Plecak z rollkami wypadł mi z rąk. Trzęsące się nogi ugięły się pode mną.

Upadłam na kolana obok Ala.

Kłęczałam pochylona nad jego ciałem i wpatrywałam się w nie. Uświadomiłam sobie, że nigdy przedtem nie widziałam nieboszczyka. Myśli, które przemykają człowiekowi przez głowę, gdy jest w szoku, są zadziwiające. Ale o tym właśnie najpierw pomyślałam: Nigdy nie widziałam zwłok człowieka.

Spojrzałam mu w oczy. Odbijały sierpowaty księżyc. Jak szkło. Szklane oczy. Oczy lalki.

Nierzeczywiste.

Zabulgotało mi w żołądku. Wstrzymałam oddech, starając się zatrzymać w brzuchu kolację.

Bezmyślnie wyciągnęłam rękę.

Co miałam zamiar zrobić? Dotknąć rolki sterczącej z ust Ala? Wyciągnąć ją?

Nie wiem. Nie myślałam o niczym. To znaczy, rozmaite dziwaczne myśli plątały mi się po głowie. Ale nie mogłam się na żadnej z nich skoncentrować. Nie potrafiłam zdecydować, co powinnam zrobić, gdzie pójść, czy zadzwonić.

Pochyliłam się nad zwłokami Ala.

To już nie jest Al, pomyślałam. To tylko jego ciało.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam kółka rolki.

Nagła eksplozja dźwięku kazała mi cofnąć dłoń. Usłyszałam dudnienie bębnów i jazgot gitar.

Otworzyły się drzwi toru wrotkarskiego. Do moich uszu dotarł odgłos kroków, a potem pisk.

— On nie żyje! — wrzasnął ktoś. Wysoki, przenikliwy głos. Nie od razu go rozpoznałam.

— On nie żyje! A potem jeszcze jeden, podobny głos:

— Zabiła go!

42

— Niiieee! — zawołałam.

Odwróciłam się. Poczułam zawroty głowy i straciłam równowagę.

W cieniu alejki, tam gdzie nie docierało światło latarni, stali Artie i Chucky.

Ich rude włosy lśniły, stercząc jak płomień nad bladymi twarzami. Niebieskie oczy chłopców były szeroko rozwarte ze strachu.

— Zabiła go!

— Nie! Chwileczkę! — błagałam. Potknęłam się, próbując wstać. Nogi miałam jak z waty.

Drżałam.

— Czekaście...!

— Zabiła go! Widziałem!

— Wezwijmy policję!

— Nie! Poczekaście! — ruszyłam za nimi. — Artie! Chucky! Nie!

Znowu usłyszałam ryk muzyki. Chłopcy otworzyli drzwi i zniknęli we wnętrzu hali sportowej.

Pozostał mi w oczach obraz ich przerażonych twarzy, a w uszach histeryczny dźwięk głosów.

— Nie! Poczekaście! To nie ja! To nie ja go zabiłam! — mój paniczny krzyk odbijał się głuchym echem od betonowych płyt chodnika. — Mylicie się! Mylicie! Poczekaście! To pomyłka!

Nie zrobiłam tego. Nie zrobiłam, powtarzałam sobie w duchu. Policja mi uwierzy. Na pewno. rozdział

— Wierzymy ci — powiedział łagodnie komisarz Reed, opierając się o swoje zabałaganione

biurko.

Był wielkim facetem z okrągłą czerwoną twarzą i krzaczastymi siwymi brwiami, sterczącymi nad małymi przekrwionymi oczami. Światło zwisającej u sufitu lampy odbijało się w jego łysinie. Kołnierzyk niebieskiego munduru miał rozpięty. Zdjął granatowy krawat i rzucił go na biurko.

43

— Wierzymy ci — powtórzył. — Ale i tak musimy zadać ci du-
żo nieprzyjemnych pytań.

Spojrzał mi prosto w oczy.

— Rozumiesz, Julio?

Skinęłam głową i zerknęłam na rodziców. Siedzieli po przeciwnej stronie biurka policjanta, przysunięci do siebie blisko. Mama zmięta chusteczką ocierała łzy z oczu. Tata obejmował ręką jej ramiona, jak gdyby pilnował, żeby nie upadła.

— Opowiadałaś nam już wszystko dwukrotnie. Ale muszę to usły-
szyć jeszcze raz — powiedział komisarz Reed znużonym głosem.

Palcami dłoni otarł pot z twarzy i tysej głowy.

— Zrozum, to się nie trzyma kupy. Moim zdaniem to nie ma sensu.

— Przecież powiedziałam już panu wszystko. Co nie ma sensu? — zapytałam.

Przycisnęłam dłonie do kolan, próbując opanować ich drzenie.

Mama trzymała na kolanach mój plecak z rolkami, przekładając go z jednej nogi na drugą.

Dlaczego nie położy go na podłodze? — zastanawiałam się.

Nawet wtedy, gdy policja przesłuchuje cię na temat morderstwa, zdarza się, że twoje myśli
błądzą po bezdrożach. Spostrzegłam, że myślę o Hillary. Ciekawa byłam, czy dobrze bawi się na
imprezie.

Próbowałam wyobrazić sobie, jak zareaguje, gdy usłyszy, co się stało dzisiejszej nocy.

Komisarz Reed pogładził się ręką po szczęcie.

— To, co mi powiedziałaś, układa się w logiczną całość. Wyszłaś
z toru wrotkarskiego i znalazłaś leżące na chodniku ciało. Samo mor-
derstwo wydaje mi się pozbawione sensu.

Spojrzałam na niego, z trudem przełykając ślinę. Zaszło mi w gardle. Pociągnęłam łyk wody z
papierowego kubka, który stał przygotowany dla mnie na brzegu biurka. Woda była ciepła i
miała gorzkawy smak. Albo może to ja miałam gorzko w ustach.

— Chłopiec nie był okradziony — ciągnął policjant. — Miał
przy sobie portfel, a w nim około piętnastu dolarów.

Podniósł na mnie przekrwione oczy.

— Czy Al nosił przy sobie duże sumy pieniędzy?

Nie — odparłam. — Zwykle był bez grosza. Bez przerwy
próbował coś ode mnie pożyczyć.

Rodzice popatrzyli na mnie zdziwieni. Nie powinnam była tego mówić. Nie chciałam, żeby
zaczęli mnie wypytywać, dlaczego pożyczałam Alowi pieniądze.

Komisarz Reed znowu potarł brodę.

— Nie było to morderstwo na tle rabunkowym. Dlaczego zatem ktoś go zabił?

— Nie wiem — zaczęłam. — Nie sądzę, żeby...

— Dlaczego zamordowano go w taki okrutny sposób? — ciągnął policjant, wpatrując się
ponad moim ramieniem w jasnożółtą ścianę.

— To wygląda tak, jakby się ktoś popisowywał. Albo chciał się na Alu za coś zemścić. Dać mu

nauczkę.

— Niezła nauczka — mruknął tata.

Mama zaczęła szlochać, zasłaniając twarz chusteczką.

— Nic mi się nie stało, mamó. Naprawdę — szepnęłam.

— Po prostu nie mogę uwierzyć, że widziałas coś tak... okropnego
— chlipnęła.

Policjant zdawał się jej nie słyszeć. Wzrok miał wbity w ścianę. Pogrążył się w myślach.

Czekałam, aż coś powie. W niewielkim biurze zapadła przytłaczająca cisza. Wypiłam jeszcze jeden łyk ciepłej wody.

O czym myśli? — zastanawiałam się. Jak sobie wyobraża to, co się stało?

Przynajmniej uwierzył mnie, a nie tym głupim bliźniakom, pomyślałam z ulgą. Wie, że nie zabiłam Ala.

Ale ktoś to zrobił.

Myśl ta utorowała sobie drogę do mojego mózgu. Zadrżałam.

Ktoś jest mordercą.

Komisarz Reed odchrząknął. Oparł się o biurko, rozcierając łokciami spiętrzone papiery.

— Musimy zadać sobie pytanie o motyw zbrodni — powiedział.

— Dlaczego ktoś zabił kilkunastoletniego chłopca w taki okrutny sposób, jeśli nie kierowały nim względy rabunkowe?

Bębnił po blacie biurka palcami, nie spuszczać ze mnie wzroku.

44

45

— Nic ci nie przychodzi do głowy? Znasz może kogoś, kto nie lubił Ala? Kto miał mu coś za złe? Komu się bardzo naraził?

— No, cóż... — zaczęłam niepewnie.

Co powinnam mu powiedzieć? Czy mam być szczerą? Czy należy opowiedzieć, jak bardzo wszyscy nienawidziliśmy Ala? Jak nas prześladował, szantażował i męczył?

— Muszę sporządzić listę jego kolegów — przerwał mi komisarz, marszcząc brwi. — Znasz jego przyjaciół? O ile sobie przypominam, mówiłaś, że należał do waszej paczki?

Skinęłam głową.

— Tak, ale nie w tym roku — powiedziałam. — Znalazł sobie jakichś nowych kumpli. Chłopaków z Waynesbridge, których nie lubiliśmy. Takich twardzieli. Al...

— Twardzieli? — w oczach komisarza błysnęło nagłe zainteresowanie. — Zaczął się zadawać z, jak ty ich nazywasz, twardzielami? Znasz tych chłopaków? Myślisz, że któryś z nich mógł mieć powód, żeby zabić Ala?

— Nnnie wiem — wyjąkałam. — Nie sędzę, że...

Podniósł wielką łapę w uspokajającym geście.

— Zastanów się dobrze. Weź głęboki oddech. Pomyśl przez chwilę. Czy Al mówił ci coś kiedyś o swoich kolegach? Nie wspominał nikogo, kto był na niego zły, albo miał go dosyć?

— Wszyscy mieliśmy go dosyć! — wybuchnęłam.

Słowa wymknęły mi się z ust. Wcale nie miałam zamiaru tego powiedzieć. Nie mogłam jednak dłużej dusić w sobie prawdy. Usłyszałam westchnienie mamy. Plecak z rolkami spadł z jej kolan na podłogę. Komisarz Reed przestał bębnić palcami o biurko.

— Wszyscy nienawidziliśmy Ala! — zawołałam.

Gdy raz pękła zapora, słowa niepowstrzymanie płynęły mi z ust. Nawet gdybym chciała, nie mogłam już przestać mówić.

— Wszyscy moi przyjaciele go nienawidzili! — powiedziałam zdumionemu policjantowi. — Mieliliśmy do tego powody. Wszyscy. Ja też!

Wzięłam głęboki oddech. Serce waliło mi jak młot.

46

— Ale nie zrobiliśmy tego! — zawołałam. — Ani ja, ani moi

przyjaciele. Nie zabiliśmy go. Jesteśmy tylko nastolatkami, a nie mordercami!

To prawda, pomyślałam, obserwując zdziwienie komisarza Reeda.

Nie jesteśmy mordercami. Nie jesteśmy.

Taka jest prawda.

Czyż nie?

Nie?

rozdział 11

Pogoda zupełnie nie pasowała do pogrzebu Ala. Był słoneczny, piękny dzień. Ciepły wiosenny wiatr zdmuchiwał z drzew wiśni płatki kwiatów.

Pierwszy pogrzeb, na którym jestem, pomyślałam. Powinno być ponuro, mgliście i mógłby padać zimny deszcz.

Mama nie chciała, żebym szła na pogrzeb. Ze wszystkich sił stara się mnie chronić. Tylko nie wiem przed czym.

Powiedziałam jej, że Hillary, Sandy i wszyscy moi przyjaciele wybierają się na pogrzeb i nie ma mowy, żebym została w domu.

Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze miałam koszmarne sny o Alu.

Kto nie miałby koszmarów, gdyby znalazł uduszonego kolegę, z rolką wbity głęboko w gardło?

Nie przypuszczałam, żeby pójście na pogrzeb mogło pogorszyć moje okropne przeżycia czy koszmarne sny. W pewien sposób mogłoby może tylko zamknąć ten smutny i przerażający rozdział mojego życia.

Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Ubierając się do kościoła, zakładając ciemną spódnicę i zapinając guziki czarnej lnianej bluzki, nawet nie przypuszczałam, że najgorsze jest dopiero przede mną.

Pojechałam do kościoła z rodzicami. Mama i tata nie znali zbyt dobrze rodziny Ala. Uważali jednak, że powinni wziąć udział w pogrzebie, bo Al był moim kolegą.

47

Przez całą drogę nikt nie powiedział ani słowa. Tata trzymał wzrok wbity w jezdnię. Ja wyglądałam przez okno, obserwując zieleniące się na drzewach świeże listki. Myślałam o tym, że jest piękna pogoda, i że dziwnie jest takiego słonecznego, radosnego dnia jechać na pogrzeb. Kościół stał na niskim wzgórzu, leżącym tuż za miastem, w miejscu, gdzie ulica Division łączy się z autostradą. Mały, biały kościółek. Wiszący na wieży mosiężny dzwon błyszczał, odbijając słońce.

Przy drzwiach rosły w wielkich donicach białe lilie, rozsiewając słodki zapach na cały kościół. Większość długich ławek z ciemnego drewna była zajęta. Dostrzegłam wielu znajomych ze szkoły i kilku nauczycieli.

Mama i tata usiedli z tyłu. Poszłam do przodu pogadać z Hillary i resztą przyjaciół. Stali stłoczeni niedaleko ołtarza. Mieli ponure miny i rozmawiali ściszymi głosami. Grały organy. Wszyscy byli niesamowicie wystrojeni. Chłopcy w krawatach i ciemnych marynarkach wyglądali strasznie sztywno. Najwidoczniej czuli się skrepowani. Było to zupełnie nierzeczywiste, jak scena w filmie.

To wszystko, co zapamiętałam z pogrzebu.

Spięci chłopcy w krawatach i marynarkach. Nienaturalnie ciche głosy, na tyle jednak donośne, by można je było słyszeć przez żałobną, przygnębiającą muzykę organową.

Zapach lilii. Tak słodki, że aż mdlący.

Zimny i wilgotny dotyk dłoni Hillary, gdy uścisnęła mi rękę na powitanie.

Stojąca przed nami długa, ciemna trumna.

To niemożliwe, że Al naprawdę w niej leży, pomyślałam.

Szczupła kobieta z siwymi lokami, siedząca z pochyloną głową. Jej usta poruszały się w modlitwie, łzy kapały na czarną sukienkę.

Tyle zapamiętałam.

I powtarzane szeptem plotki.

Ktoś powiedział, że mama Ala nie była w stanie przyjść na pogrzeb. Dano jej silne środki uspokajające i zabrano do szpitala.

Ktoś powiedział, że ojciec Ala wyznaczył nagrodę dla tego, kto pomoże wskazać mordercę.

Ktoś powiedział, że policja już wie, kto zamordował Ala. Że to jeden z jego kolegów z Waynesbridge. Uciekł, ale już go szukają.

Plotki. Zapach lilii. I szczupła kobieta roniąca łzy na sukienkę.

To zapamiętałam. I twarze moich przyjaciół.

Siedziałam w bocznej ławce. Widziałam z niej ich wszystkich. Błede, wydłużone i smutne twarze. Gdy pastor przemawiał, przenosiłam wzrok z jednej z nich na drugą.

Sandy klęczał z twarzą ukrytą w dłoniach, opierając łokcie o ławkę. Czekałam, aż usiądzie, ale nie ruszył się do końca nabożeństwa.

Twarz Vincenta była napięta i nieruchoma. Widziałam, jak na przemian zaciska i rozluźnia szczękę. Nieobecny wzrokiem patrzył prosto przed siebie. Tak, jak gdyby był myślami gdzieś bardzo daleko.

Twarz Hillary była zupełnie pusta. Nie mogłam nic z niej wyczytać. Hillary siedziała wyprostowana, jedną ręką bawiła się długim, czarnym warkoczem. Ciągnęła go i gładziła. Nie okazywała żadnych emocji.

Taylor szłochała w zwiniętą chusteczkę. Jasne włosy były upięte na głowie w kok. Gdy sięgnęła ręką, żeby otrzeć łzy z oczu, włosy rozsypały się i zakryły jej twarz.

To nie są twarze morderców, myślałam obserwując ich, podczas gdy pastor monotonicznie mamrotał modlitwy nad trumną.

Znam tych ludzi.

To moi przyjaciele.

A nie mordercy. To nie są mordercy.

Po pogrzebie zebraliśmy się w domu Sandy'ego. Jego mama przygotowała wielki talerz kanapek, które pochłonęliśmy błyskawicznie. Umieraliśmy z głodu!

Paplaliśmy wszyscy naraz. Pewnie dlatego, że byliśmy strasznie spięci. Chcieliśmy jak

najszybciej zapomnieć o pogrzebie. To nie było łatwe, bo w dalszym ciągu mieliśmy na sobie żałobne ubrania.

Vincent zdjął krawat i zawiązał go sobie na głowie. Powoli dochodził do siebie. Zaczynał się zachowywać jak dawniej. Przypuszczam, że poczuł ulgę, kiedy rodzice pozwolili mu pójść do Sandy'ego. Przecież siedział w domu przez całe wieki!

Opowiedział nam o pogrzebie swojej babci. Według Vincenta była to niezmiernie przyzwoita osoba. Bardzo surowa i dbająca o to, żeby wszystko było zawsze zrobione, jak należy.

Ksiądz wygłosił tak wzruszającą mowę pochwalną na cześć babci,

48

Tajemnicze wyznanie

49

że wszyscy tonęli we łzach. Potem otwarto trumnę, żeby każdy mógł się pożegnać ze zmarłą. Gdy podniesiono wieko, kościół wypełnił się przerażonymi westchnieniami. W trumnie nie było babci Vincenta. Zamiast niej leżał tam olbrzymi, ponad stukilowy łysy mężczyzna, z krzaczastą brodą świętego Mikołaja.

Do kościoła przywieziono niewłaściwą trumnę.

Westchnienia po chwili przerodziły się w nerwowe chichoty. Wkrótce cały kościół rozbrzmiewał śmiechem.

— Ludzie ryczeli ze śmiechu — relacjonował Vincent radośnie.

— Śmiali się wszyscy. Naprawdę. To było wspaniałe. Babcia przez całe życie marudziła, że nikt nigdy nie zrobił niczego we właściwy sposób. No i miała rację!

Wybuchnęliśmy śmiechem. Wszyscy, oprócz Sandy'ego. Był jeszcze bardziej spięty niż zwykle. Stał samotnie koło kominka. Wziął małe popiersie z brązu, przedstawiające jego podobiznę, i przekładał je nerwowo z ręki do ręki.

Mama Sandy'ego pracuje jako psychoanalityk, ale jest również utalentowaną rzeźbiarką. Pokój gościnny w ich domu wypełniony jest rzeźbami głów Sandy'ego i jego starszej siostry Gretchen, która studiuje w Cornell. Podobieństwa są doskonale zachowane.

Obserwowałam Sandy'ego, obracającego w palcach brązową figurkę. Opowiadania Vincenta słuchał jednym uchem. Dziwiłam się, że w ogóle nie zwracał uwagi na Taylor.

Taylor i Hillary siedziały na kanapie i rozmawiały. Taylor ponownie upięła włosy. Nawet z drugiego końca pokoju dostrzegłam, że oczy miała zaczerwienione od płaczu.

— Nadal nie pozwalają ci wychodzić z domu? — zapytałam Vincenta. — Czy już ci przebaczyli?

Chyba mnie nie usłyszał. Patrzył na Taylor. Nagle wstał i szybkim krokiem ruszył do kuchni.

— Przynieść komuś coś do picia? — zapytał.

Poszłam za nim. Otworzył drzwi lodówki i zaglądał do środka.

— Wszystko w porządku? — spytałam.

Wyciągnął puszkę Górskiej Rosy i wyprostował się. Wzruszył ramionami.

— Chyba tak. To wszystko jest dość dziwne, nie uważasz?

— Taak. Bardzo dziwne. Otworzył puszkę.

— Dobrze się czujesz, Julio? Nie męczą cię jakieś koszmary albo coś w tym stylu? Przecież to ty go znalazłaś. To musiało być...

— Ciągłe mam to przed oczami — przyznałam. — Rodzice mówią, że to może potrwać jeszcze jakiś czas. Uważają, że...

Urwałam, gdy usłyszałam, że Sandy woła nas z gościnnego pokoju. Vincent pociągnął długi łyk napoju. Wyszliśmy z kuchni i poszliśmy zobaczyć, czego Sandy od nas chce.

— Chodźcie ze mną — powiedział.

Zaprowadził nas do przyległego małego pokoiku. Próbowałam wyczytać z jego oczu, o co mu chodzi, ale unikał mojego wzroku.

— Usiądźcie tutaj wszyscy — burknął napiętym i szorstkim głosem.

— O co ci chodzi? — zapytała Taylor.

Wymamrotał coś, trzymając wzrok wbity w podłogę. Nic nie zrozumiałam. Taylor też chyba tego nie usłyszała.

Usiedliśmy wokół małego, obitego korkiem stołu. Sandy dokładnie zamknął za sobą drzwi.

— Muszę wam coś powiedzieć — zaczął nieśmiało.

Nadal trzymał w dłoniach swoje małe brązowe popiersie.

— Chcesz to sprzedać — zażartował Vincent — czy po prostu jesteś w sobie zakochany?

Taylor roześmiała się. Wymieniłyśmy z Hillary spojrzenia. Co męczy Sandy'ego? — zachodziłam w głowę. Co ma zamiar nam oświadczyć?

Sandy odkaszlnął. Postawił brązową figurkę na półce z książkami.

— Powiem wam to, bo jesteście moimi przyjaciółmi i mam do was zaufanie — wyrzucił z siebie szybko, wpatrując się w okno ponad moją głową.

Zobaczyłam, że Vincent już otwierał usta, żeby wtrącić kolejny dowcip. Pokręciłam głową, dając mu do zrozumienia, żeby się powstrzymał. Vincent zamknął buzię i rozsiadł się wygodniej na krześle.

— Chcę wam to powiedzieć i nie chcę powiedzieć — ciągnął Sandy tajemniczo. — Ale czuję, że... Czuję, że...

50

51

Głos mu drżał. Wziął głęboki oddech.

— Czuję, że muszę wam to powiedzieć.

— Sandy, co ty wygadujesz! — zawołała Taylor, podrywając się z krzesła.

— Cóż... — Sandy chrząknął. — Muszę wam coś wyznać. Ja to zrobiłem. To ja zabiłem Alę.

rozdział 12

— To wcale nie jest śmieszne! — pisnęłam.

Taylor westchnęła i zakryła dłonią usta.

Hillary utkwiała wzrok w Sandym, ale z jej twarzy nie można było wyczytać żadnej reakcji.

— Kpisz sobie z nas? — zapytał Vincent, stawiając na stole puszkę i wstając. — To głupi dowcip.

— To nie żart, Vincent. Ja wcale nie żartuję. Mówię prawdę — zawołał Sandy ochryłym głosem.

— Nieee! — wrzasnęła Taylor z dzikim wyrazem oczu.

— Zabiłem go — upierał się Sandy. — Zabiłem Ala. Jesteście moimi przyjaciółmi. Chciałem, żebyście poznali prawdę. Wiem, że dochowacie tajemnicy.

— O rany! — mruknął Vincent.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Jeden, a potem drugi raz. Popatrzyłam na Sandy'ego. Słyszałam, co mówi, ale nie wierzyłam mu.

Nie chciałam mu uwierzyć.

— To nieprawda! To nieprawda! — jęczała Taylor.

Podерwała się, przebiegła na drugą stronę pokoju i objęła Sandy'ego, szlochając. — To nieprawda! Wiem, że to nieprawda! Jestem pewna! Sandy chwycił ją za ręce i delikatnie uwolnił się z uścisku.

— Przykro mi, Taylor. Naprawdę mi przykro. Ale zrobiłem to. Mówię prawdę.

Hillary wstała kręcąc głową. Skrzyżowała ręce na piersiach, pode-

szła do okna i wyjrzała na zewnątrz, gdzie świeciło popołudniowe słońce.

Vincent z otwartymi ustami przyglądał się Sandy'emu.

Próbowałam opanować dreszcze, które wstrząsały moim ciałem. W końcu udało mi się wydobyć głos z gardła.

— Ale... dlaczego? — wykrztusiłam. — Dlaczego, Sandy? Dla czego to zrobiłeś?

W pokoju zapadła cisza. Słyszałam tylko cichutkie pochlipywanie Taylor i bicie własnego serca.

— Zatrwał nam życie — odparł cicho, prawie szeptem, Sandy. — Zatrwał życie każdemu z nas. Był coraz gorszy. Zrobiłem to dla dobra nas wszystkich.

— Ale, Sandy... — zaczęłam.

— Wszyscy pragnęliśmy jego śmierci — przerwał mi Sandy. — Wszyscy go nienawidziliśmy, może nie? Nienawidziliśmy jego szantaży, rozstawiania nas po kątach, zmuszania do... do... — głos mu się załamał.

— To nieprawda! — jęknęła znowu Taylor. — Nieprawda!

— Przykro mi — powiedział do niej uspokajająco Sandy. — Przykro mi, że cię to tak dotknęło. Ale nie żałuję tego, co zrobiłem. Nie żałuję, że go zabiłem.

Zerknęłam na Hillary akurat w momencie, gdy odwróciła się od okna. Nadal trzymała ręce skrzyżowane na piersiach. Ku mojemu zaskoczeniu, była zła.

— Nie powinieneś być nam tego mówić! — warknęła.

Oczy Sandy'ego otworzyły się szeroko. Spojrzał zmieszany na Hillary.

— Słucham? Myślałam...

— Nie powinieneś się nam do tego przyznawać — powtórzyła Hillary. — W ten sposób staliśmy się twoimi współnikami, a to nie jest w porządku.

— Ale... ale przecież jesteście moimi przyjaciółmi! — wyjąkał Sandy, idąc w stronę Hillary z rozłożonymi rękami.

Hillary cofnęła się i uderzyła plecami o parapet. Światło odbiło się w okularach i przez chwilę nie było widać jej oczu. Ruszyła głową i znów zobaczyłam spojrzenie pełne złości.

52

53

— To nie w porządku — wycedziła przez zaciśnięte zęby. — Mimo że jesteśmy twoimi przyjaciółmi, nie masz prawa wplątywać nas w morderstwo. Co teraz mamy robić? Po prostu dochować tajemnicy i nigdy o tym nie myśleć?

— Ale przecież zrobiłem to specjalnie dla ciebie, Hillary! — zawołał Sandy ochryple. Usłyszeliśmy jakiś hałas za drzwiami i wszyscy odwróciliśmy głowy. Sandy pobladł. Na pewno pomyślał, że jego mama zaraz wejdzie do pokoju.

Musiał to być jednak dźwięk dochodzący z ulicy. Warkot samochodu lub coś innego. Drzwi pozostały zamknięte. Sandy odwrócił głowę do Hillary.

— Dlaczego mnie męczysz? Zrobiłem to przede wszystkim dla ciebie — powtórzył podniesionym tonem. — Al tobie najbardziej zatruwał życie. Szantażował cię, zmuszał, żebyś mu dawała pieniądze i...

Hillary pokręciła głową. Zmarszczyła brwi.

— Powinnaś mi podziękować! — powiedział Sandy. — Zamiast patrzeć na mnie w taki sposób, powinnaś mi być wdzięczna!

— Ale to ty, Sandy, go zabiłeś! — zawołała Hillary drżącym, wzburzonym głosem, którego nigdy przedtem u niej nie słyszałam. — Ty go zabiłeś! To prawda, że zatruwał mi życie, że mnie szantażował, ciągle czegoś ode mnie chciał. Męczył mnie, ale... — Hillary wzięła głęboki oddech. — Ale nigdy bym go nie zabiła! Nie rozumiesz, Sandy? Nie rozumiesz, co zrobiłeś? Zabiłeś człowieka. Zabiłeś Alę!

Sandy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Hillary przerwała mu gwałtownym machnięciem ręki.

— Nie zabija się kogoś tylko dlatego, że cię męczył — powiedziała Hillary powoli, wymawiając każde słowo jasno i dobitnie. — A potem nie wyznaje się tego. O tym, co zrobiłeś, nie możesz mówić w pokoju pełnym ludzi.

— Ale wy nie jesteście jakimiś ludźmi — upierał się Sandy. — Jesteście moimi przyjaciółmi. Powiedziałem wam to, bo jesteście moimi przyjaciółmi.

— Od tego właśnie są przyjaciele — przerwał Vincent.

Może miał to być dowcip, ale nikogo nie rozśmieszył.

Nawet Vincent nie mógł nas teraz rozweselić. Spojrzałam na niego, zastanawiając się, co naprawdę myśli. Z Vincentem nigdy nic nie wiadomo. Żarty zawsze maskują to, co naprawdę czuje.

— Postawiłeś nas w okropnej sytuacji — westchnęła Hillary. — Teraz nie mamy wyboru. Musimy to powiedzieć twoim rodzicom albo zadzwonić na policję.

— Nie! — pisnęła Taylor. Spojrzała na Hillary. — Coś ty powiedziała? Musimy bronić Sandy'ego. Musimy dochować tajemnicy.

— Zaufałem wam — wymamrotał Sandy, wbijając wzrok w dywan.

— Wydaje mi się, że Taylor ma rację — powiedziałam z namysłem. — Nie możemy go zdradzić. To... to jest takie straszne, że nie mogę o tym myśleć! Przez chwilę byłam bliska płaczu. Miałam już tego dość. Zbyt wiele smutku, przerażenia i napięcia.

— Sandy sprawił, że jesteśmy współwinni morderstwa — upierała się Hillary.

— Ale on to zrobił dla nas — wtrącił Vincent. — Uwierz mi, kiedy Al rozwalił samochód moich rodziców, chciałem go zabić. Naprawdę. Ale nie miałem odwagi.

— Nie chciałeś odebrać człowiekowi życia — powiedziała Hillary. — Nie byłeś mięczakiem. Po prostu wiedziałeś, że nie zabija się kogoś, bo ma się go dość. Taylor stanęła koło Sandy'ego i objęła go.

— Musimy żyć tak jak przedtem — powiedziała, kładąc głowę na ramieniu Sandy'ego. — Musimy zapomnieć o tym, co się stało. Jak moglibyśmy wydać Sandy'ego policji? Jak udałoby się nam potem wrócić do normalnego życia?

— Ona ma rację — przyznałam. — Jeśli zdradzimy Sandy'ego, jeszcze jedno życie będzie zmarnowane.

— Dzięki, Julio — powiedział Sandy i zwrócił się do pozostałych: — Znacie mnie. Wiecie, że jestem dobrym kolegą. Nie jestem mordercą. Jestem normalnym chłopakiem. Waszym przyjacielem. Jesteśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Z trudem przełknął ślinę. Przepęłniło go wzruszenie. Taylor uścisnęła go. Podniosła głowę i pocałowała go w policzek.

54

55

— Wiecie, że nie jestem mordercą — powtórzył Sandy, patrząc kolejno na każdego z nas. — Wiecie, że nigdy więcej już nikogo nie zabiję. Wierzycie mi? Wierzycie? Tydzień później Sandy znów kogoś zamordował.

rozdział 13

Sandy znów zabił. Tym razem zdarzyło się to w moim śnie.

Śniło mi się, że biegliśmy z Hillary po nieskończonej, zielonej łące. Bieg zamienił się nagle w jazdę na rolkach. Ślizgałyśmy się po łące coraz szybciej, prąc pod wiatr, który rozwiewał nasze włosy i łopotał swetrami.

Pamiętam, wydawało mi się dziwne, że możemy jeździć tak szybko po trawie. Nagle niebo pociemniało. Trawa zrobiła się najpierw niebieska, a potem, gdy prześliznęła się po nas mroczny cień — czarna.

Znowu biegliśmy. Uciekałyśmy przed czymś, przerażone. Do momentu, kiedy Sandy wyszedł zza drzewa, nie uświadamiałam sobie, czego się bałyśmy.

Podniósł ręce. Trzymał dwie rolki, związane razem. Szarpnął w bok butami i sznurówki trzasnęły jak bicz.

Nigdy nie zapomnę tego przerażającego dźwięku.

Wiedziałałam, że Sandy chciał nas zadusić. Mnie i Hillary.

Ale nadal biegliśmy w jego kierunku. Tak, jakbyśmy były jego współpracownikami. Jakbyśmy

pomagały mu nas zamordować.

Biegłyśmy w jego kierunku. Ponownie strzelił sznurówkami.

Obudziłam się. Cała byłam złana potem. Koszula nocna przylepiła mi się do ciała.

Zamrugałam oczami. Nadal słyszałam trzask sznurówek.

Powoli uprzytomniłam sobie, że to miotane wiatrem żaluzje uderzają o framugę okna mojej sypialni.

Wstrząsnął mną dreszcz. Wyobraziłam sobie Sandy'ego. Niskiego tłuściocha z okrągłą, dziecienną buzią.

56

Sandy stał się zły. Teraz był mroczną postacią, przychodzącą straszyć mnie w snach.

Zerknęłam na zegarek stojący na nocnej szafce. Dopiero szósta piętnaście. Za oknem było jeszcze szaro.

Spuściłam stopy na podłogę i wstałam z łóżka. Byłam przekonana, że już nie zasnę. Nie chciałam zasnąć.

Miałam dosyć koszmarnych snów.

Następnego wieczoru, po próbnej maturze, opowiedziałam Hillary mój sen.

Próbna matura! Uwierzycie?

W liceum Shadyside jest w tym roku prawie trzystu maturzystów. Myślę, że nikt z nas jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że już za kilka tygodni egzaminy.

Próbnej matury nikt nie chciał potraktować poważnie. Paplaliśmy i zgrywaliśmy się, tak jakby nam ktoś powiedział „róbcie, co chcecie”, a nie, że mamy zdawać egzamin!

Pan Hernandez zdierał sobie gardło, ale nie mógł nas uspokoić. W końcu Ricky Shore podszedł do mikrofonu i wrzasnął na cały głos:

— Zapiąć pasy i przygotować się do odlotu!

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, ale zaraz potem, nie wiedząc czemu, umilkliśmy. Dyrektor podziękował Ricky'emu za pomoc, odesłał go na miejsce i zaczął tłumaczyć nam, co mamy robić.

Najpierw oczywiście odśpiewaliśmy hymn szkoły, wyjąc jak psy i umierając ze śmiechu. Potem, gdy mieliśmy już zasiąść do pisania, kilku chłopaków z drużyny piłkarskiej zaczęło się mocować ze sobą. Wywołało to nowe zamieszanie i nowe śmiechy i krzyki.

Mam wrażenie, że zachowywaliśmy się jak przedszkolaki, a nie jak maturzyści. Przypuszczam, że działo się tak dlatego, że wielu z nas wcale nie miało ochoty kończyć szkoły.

Nie chcemy odchodzić z liceum. To był nasz dom przez cztery lata. Przeżyliśmy tam wiele cudownych chwil. I wiemy, że po maturze nigdy już nie będziemy spędzać tyle czasu w gronie szkolnych przyjaciół.

Próbny egzamin skończył się tuż po ósmej. Wszyscy łapali za

57

plecaczki i zbierali się do domów, żeby zdążyć odrobić lekcje. Mimo że mieliśmy już szkołę prawie za sobą, musieliśmy jeszcze pisać prace zaliczeniowe i zdawać egzaminy semestralne.

Po przeciwnej stronie auli, koło podium, dostrzegłam Vincenta. Popisywał się przed grupą dziewczyn. Tańczył dziki taniec, młócąc wokół rękami i trzęsąc całym ciałem.

Dziewczyny śmiały się i kręciły głowami. Jedna z nich próbowała z nim tańczyć, ale nie mogła nadążyć. Wszystkie myślą, że Vincent jest bardzo słodki. I tak rzeczywiście jest.

Dlaczego on nigdy nie chce tańczyć ze mną?

Zarzuciłam na ramię plecak i dogoniłam Hillary koło podium.

— Poczekaj! Dokąd tak pędzisz? — zawołałam.

Wyciągnęła warkocz przytrzaśnięty paskiem plecaka.

— Strasznie tu gorąco — zaczęła marudzić. — Nie sądziłam, że to będzie trwało tak długo. Mam kupę roboty z francuskiego.

Spojrzała na mnie. Strzepnęła jakiś paproch z mojego ramienia.

— Julio, dlaczego jesteś taka zmęczona?

— Nie spałam zbyt dobrze ubiegłej nocy — odparłam, dziwiąc się, że tak bardzo to widać. Opowiedziałam jej o moim śnie. Wzdrygnęła się.

— Nie mogę przestać o tym myśleć — wyznała. — To znaczy, zawsze, kiedy spotykam Sandy'ego, robi mi się trochę niedobrze. Boli mnie żołądek.

— Świetnie cię rozumiem — powiedziałam, przyciskając plecy do podium, żeby przepuścić jakieś dzieciaki. — Kiedy go widzę, mam wrażenie, że to nie ten sam Sandy. To jest morderca, a nie chłopak, którego znałam i lubiłam.

— Ja się czuję zupełnie... zupełnie paskudnie — wyjąkała Hillary — ponieważ on twierdzi, że zrobił to dla mnie. Wyobraża sobie, że ja chciałam, żeby ktoś zabił Ala. Westchnęła.

— Wydawało mi się, że go znam. Jak ktoś tak bardzo nam bliski mógł zostać... zabójcą?

Nie miałam na to odpowiedzi.

58

— Teraz się z tobą zgadzam — powiedziałam. — Nie powinien

był nam o tym mówić. Najpierw pomyślałam, że to w porządku. Ale teraz żałuję, że zdecydował się nam zwierzyć.

— Czuję się tak, jakby ten sekret siedział w moich wnętrznościach. Rósł coraz większy i usiłował się wydostać na zewnątrz — rzekła Hillary. — Sandy postąpił zupełnie nie w porządku.

— A teraz przychodzi na próbną maturę, wygłupia się, żartuje i zachowuje, jakby nic się nie stało — dodałam. — Jeśli on sobie z tym poradził, to dlaczego my się mamy męczyć?

Hillary otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamarła w bezruchu.

Mignął nam przed oczami czyjś cień.

Ktoś stał nad nami na podium.

Odwróciłam się. Podniosłam wzrok.

I zobaczyłam Taylor.

Stała ukryta za ciężką, brązową zasłoną. Kiedy zauważyła, że na nią patrzę, prędko się schowała. Taylor.

Wymieniłyśmy z Hillary spojrzenia. Przypuszczam, że nurtowało nas to samo pytanie.

Od jak dawna tam stała? Co słyszała?

Czy dotarło do jej uszu to, co mówiłyśmy o Sandym?

Powie mu o tym?

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

A jeśli mu powie, co Sandy zrobi?

rozdział 14

— Boję się teraz Sandy 'ego — powiedziałam do Hillary. — Nie wiadomo, co mu może strzelić do głowy.

Szłyśmy ulicą Parkową w kierunku naszych domów. Nie miałam ochoty czekać na autobus.

Wieczorem kursuje co pół godziny, a ja nagle zapragnęłam wyjść jak najszybciej ze szkoły.

— Jak ón może w nocy spać? — zapytałam Hillary. — Jak może
59

witać się co rano z rodzicami, pamiętając o tym, co zrobił? Jak może przychodzić do szkoły i zachowywać się tak swobodnie? Jak może skupić się na nauce? Gdybym... gdybym kogoś zabiła, nie byłabym w stanie nic robić. Dalsze życie nie miałyby sensu.

— Rozumiem cię — odparła Hillary, poprawiając plecaczek. — Nie potrafimy mu teraz zaufać. Trudno jest traktować go jak przyjaciela, bo nie znamy jakiejś tajemniczej części jego osobowości. Tego zimna i zacięcia, które... które są naprawdę przerażające.

Szłyśmy przez chwilę w milczeniu. Nasze martensy głucho dudniły po chodniku. Minął nas samochód z zapalonym jednym światłem. Młodziutkie listki drżały na łagodnym, ciepłym wietrze. Prosto przed nami, nad dachami domów, lśnił rogalik księżycy.

Czujnie obserwowałam okolice. Wszystkie moje zmysły pracowały nieustannie.

— Nie możemy się już z nim przyjaźnić — wymamrotała Hillary bardzo cicho. Pomyślałam, że może mówi do siebie. — Już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Dla żadnego z nas.

Pokiwałam głową.

— Jeśli Taylor powtórzy Sandy'emu to, co podsłuchała — po wiedziałam sennie — on nawet nie będzie chciał być naszym przyjaacielem.

Przeszłyśmy przez ulicę i wkroczyłyśmy w ciemność. Dwie najbliższe latarnie były popsute. Drogę przed nami okrywała ciężka zasłona czerni.

W pewnej chwili poczułam, że ktoś nas śledzi.

Prawdopodobnie wtedy, kiedy przystanęłyśmy na rogu ulicy i gdzieś w tyle rozległo się skrzypnięcie buta na ścieżce.

Nie zwróciłam na to uwagi. Ale potem, przy następnej przecznicy, gdy zawahałyśmy się przed wejściem w ciemność, ponownie usłyszałam szurnięcie podeszwy i szelest żywopłotu.

Uświadomiłam sobie, że ktoś za nami szedł. Ktoś nas obserwował.

Kiedy minęłyśmy płaską, pustą parcelę z ciemnymi łodyżkami chwastów szumiącymi w ciemnościach, złapałam Hillary za rękę. Zatrzymałam ją.

— Ktoś tam jest — szepnęłam. — Ktoś za nami idzie.

— Wiem — odparła równie cicho.

60

Znów usłyszałam trzask gałązek. Szmer buta. Poczułam, że mięśnie ręki Hillary napięły się. Zobaczyłam, że zacisnęła zęby.

Odwróciłyśmy się błyskawicznie. Otworzyłyśmy usta ze zdziwienia.

rozdział 15

Nikogo tam nie było.

Wiatr grzechotał gałęziami wysokiego żywopłotu.

Jakieś malutkie stworzonko przebiegło cichaczem przez ulicę. Wiewiórka? Mysz?

Stałyśmy jak sparaliżowane, patrząc w stronę, gdzie żywopłot zakręcał. Wstrzymałam oddech. Nasłuchiwałam.

Czekałyśmy na odgłos czyichś kroków. Na czyjś oddech, kaszel czy westchnienie.

Usłyszałam tylko szept młodych liści. A potem wycie karetki, jadącej gdzieś w oddali.

Nagle obie naraz wybuchnęłyśmy śmiechem.

Głośnym śmiechem, pełnym ulgi.

— Nie wpadamy przypadkiem w paranoję? — zawołałam.
— Tak, chyba nam zupełnie odbiło — przyznała Hillary
— Dlaczego ktoś miałby nas śledzić? — dodałam. — Co nam chodzi po głowie?
Zerknęłam jeszcze raz na żywoplot. Wznosił się nad trawą milcząco i nieruchomo. Odwróciłam głowę i ruszyłam dalej.
— Chodź do mnie. Puczmy się — namawiałam Hillary. —
Możemy razem wkuwać słówka z francuskiego. Będzie nam łatwiej.
Nadal nie czułam się swobodnie. Byłam przestraszona i miałam mętlik w głowie. Nie chciałam zostawać sama. Po chwili wahania Hillary się zgodziła.
— Nie mogę zostać u ciebie za długo. I musisz mi coś obiecać.
— Co? — zapytałam.

61

— Nie będziemy więcej rozmawiać o Sandym i Alu.
— Dobrze, obiecuję — odparłam bez namysłu. Ale nie dotrzymałam słowa.
Gdy skręciłyśmy w ulicę Strachu, zza drzew wyłonił się mój dom. Przed bramą stał czarno-biały samochód policyjny. Dostrzegłam policjanta, idącego powoli w stronę drzwi frontowych.
— Czego on chce? — zawołałam, czując jak oblewa mnie fala gorąca. — Czy już nigdy nie zostawią mnie w spokoju?
— Zaraz się wszystkiego dowiemy — odparła spokojnie Hillary.
Miałam olbrzymią ochotę odwrócić się i uciec, zanim policjant mnie zobaczy. Ale szłyśmy dalej. Przeszłyśmy przez trawnik przed domem i dogoniłyśmy go w momencie, kiedy podnosił rękę do dzwonka. Poznałam komisarza Reeda. — Rodziców nie ma w domu! — zawołałam. To było kłamstwo. Po prostu wymknęło mi się z ust. Chciałam, żeby sobie poszedł. Miałam już dość pytań. Policjant odwrócił się do nas. Jego łysina odbijała światło lampy zapalanej na ganku. Miał na sobie niebieski mundur. Pogniecione spodnie i wytartą marynarkę z dziurą na jednym łokciu. Był wyższy, niż mi się wydawało. Marynarka ciasno opinała jego brzuch. Granatowy krawat wisiał krzywo. Czapkę trzymał w ręku.
Zerknęłam na rewolwer wiszący w brązowym pokrowcu, przypiętym do paska. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek do kogoś strzelał.
— Miałem nadzieję, że zastanę ciebie — powiedział, kiwnąwszy głową do Hillary. — Chciałem zadać ci jeszcze kilka pytań.
— Rodziców nie ma w domu — powtórzyłam. — Nie wiem, czy to dobry pomysł.
Proszę, proszę, idź już sobie.
— Nie powinnam sama z panem rozmawiać — ciągnęłam.
Zamrugał. Zwilżył językiem spieczoną wargę.
Drzwi otworzyły się. Mama wysunęła głowę.
— Wydawało mi się, że słyszę czyjeś głosy — powiedziała, mrużąc oczy. Raziło ją żółte światło lampy.
Na twarzy mamy pojawiło się zdenerwowanie, gdy dostrzegła komisarza Reeda.

62

— Coś się stało?
— Przyszedłem zadać jeszcze kilka pytań — powiedział policjant, wbijając we mnie wzrok.
— Chciałem zapytać Julię o pewne sprawy, jeśli to możliwe. Obiecuję, że zajmę tylko chwilę.
Mama cofnęła się, żeby nas wpuścić. Miała w ręku książkę. Powieść Stephena Kinga.

Jak ona może dla rozrywki czytać przerażające historyjki, kiedy moje życie zamieniło się w horror? — pomyślałam.

Weszliśmy do pokoju gościnnego. Mama usiadła na krześle koło okna. Książkę położyła na kolanach.

Hillary i ja usiadłyśmy na kanapie. Komisarz Reed wyciągnął z kieszeni koszuli ołówek i mały notesik. Potem chrząknął i zajął miejsce na otomanie, naprzeciwko nas.

— Zrobiliście już jakieś postępy? — zapytała mama policjanta.

— Mam na myśli tę sprawę.

Siedział do niej plecami. Odwrócił głowę.

— Tak. Niewielkie.

Poczułam, że przeszywa mnie zimny sztylet strachu. Podejrzewają Sandy'ego? Czy policja już niebawem rozwiąże zagadkę śmierci Ala?

Odwrócił się z powrotem do mnie. Ręce zrobiły mi się nagle zimne i wilgotne. Wsunęłam dłonie pod narzutę, przykrywającą kanapę, żeby je ogrzać.

— Julio, przed wejściem miałem wrażenie, że nie chcesz ze mną rozmawiać — powiedział.

— Słucham?

Nie oczekiwałam, że mi to wypomni.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, czekając, aż powiem coś na swoje usprawiedliwienie.

— Czy masz jakieś powody, żeby mnie unikać?

— Nie — odparłam. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. — To dlatego... że... mam już dosyć ciągłego przypominania mi o tym, co się stało.

Pokiwał głową. Nadal wpatrywał się w moje oczy.

— Chodziłaś przez kilka dni do szkoły. Twoi przyjaciele prawdo podobnie rozmawiali o morderstwie. Nie obył ci się o uszy jakieś plotki na ten temat?

63

Miałam kompletną pustkę w głowie. Nie mogłam nic wymyślić.

— Nie słyszałaś nic ciekawego? Nic, czym powinnaś się ze mną podzielić?

— Niech pan posłucha. Proszę zapomnieć o plotkach. Mogę panu zaoszczędzić dużo czasu i kłopotów. Ala zamordował chłopak z naszej klasy, Sandy Miller. Przyznał się nam do tego w zeszłym tygodniu.

rozdział 16

Właśnie to chciałam powiedzieć.

Umierałam z pragnienia, żeby wyznać prawdę.

Słowa były gotowe popłynąć z mych ust długim, oczyszczającym strumieniem.

Pomyślałam, że poczuję się znacznie lepiej, jeśli im to powiem. Będzie po wszystkim. Skończy się strach i niepewność. Przestaną mi się śnić koszmary.

Ale czy mogłabym to zrobić Sandy'emu?

Nie.

Sandy nam zaufał. Zaufał mi. Powierzył mi najgłębszy, najbardziej mroczny sekret swojego życia.

Wiedziałam, że jakkolwiek źle bym się czuła, jak bardzo byłabym przerażona i oburzona, nie mogę zdradzić Sandy'ego. Mimo że słowa cisnęły mi się na usta, nie mogłam ich powiedzieć.

Musiałam je połknąć, zatrzymać.

Zerknęłam na Hillary. Czytała w moich myślach.

Hillary też chciała, nawet bardziej niż ja, pozbyć się tej okropnej tajemnicy.

Była wściekła na Sandy'ego. Widać było, że pragnie wszystko z siebie wyrzucić. To właśnie jej, najbardziej z nas wszystkich, nie spodobało się, że Sandy wyznał swój sekret. Od samego początku miała mu za złe, że nas w to wplątał.

Przesunęła dłonią w górę i w dół po długim warkocz. Druga ręka bezgłośnie bębniła o oparcie kanapy.

Byłam pewna, że nie zdradzi kolegi.

Ja też nie mogłam tego zrobić.

Komisarz Reed pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

— Musiałaś słyszeć jakieś plotki — nastawał. — Twój kolega z klasy na pewno snuli przypuszczenia, kto mógł zamordować Alę Freeda.

Potrząsnęłam głową.

— Wszyscy są bardzo przygnębieni — powiedziałam. — Nikt nie może w to uwierzyć. To takie nierealne.

— Bardzo mało rozmawiamy na ten temat — wtrąciła Hillary głosem pełnym napięcia. — To zbyt przerażające. Paplamy o maturze i podobnych sprawach. Myślę, że każdy z nas chce o tym zapomnieć, zepchnąć to w najgłębszy kąt mózgu.

— Hillary ma rację — potwierdziłam szybko.

Hillary jest bardzo inteligentna. Zawsze potrafi lepiej ode mnie wyrażać swoje myśli.

— To powinien być dla nas szczęśliwy okres. Mam na myśli nas, maturzystów. Nikt nie chce, żeby mu przypominać, że stało się coś strasznego. To dlatego zachowałam się niezbyt uprzejmie, widząc pana tutaj.

Policjant ponuro pokiwał głową. Potarł dłonią dolną część twarzy. Potem popatrzył na trzymany w ręku notesik.

— Przeczytam ci teraz kilka nazwisk. Chcę się dowiedzieć, czy coś ci one mówią.

Powoli odczytał listę nazwisk sześciu czy siedmiu chłopców. Żaden z nich nie chodził do naszego liceum. Ani ja, ani Hillary nigdy o nich nie słyszałyśmy.

— To Alę kolega z Waynesbridge? — zapytałam. Komisarz wepchnął notes do kieszeni koszuli.

— Tak, niektórzy z nich.

— Nigdy nas z nimi nie poznał — powiedziałam. — Spotykał się z nimi tylko w Waynesbridge.

— Rozumiem.

64

5 — Tajemnicze wyznanie

65

Policjant wstał.

— To na razie wszystko. Przepraszam, że zabrałem wam tyle czasu.

Uklonił się mamie, która nadal siedziała przy oknie.

— Przykro nam, że nie mogliśmy panu pomóc — powiedziałam, odprowadzając go do drzwi. — Gdybym się czegoś dowiedziała...

— Proszę zadzwonić — skończył. — Dobranoc.

Wyszedł. Patrzyłam za nim, dopóki nie wsiadł do samochodu. Poczułam ulgę. Cieszyłam się, że odjeżdża, że oparłam się pokusie powiedzenia mu prawdy, wyznania wszystkiego, co wiedziałam.

Trzasnęły drzwi samochodu. Zapalił światła i kilka sekund potem cichutko odjechał.

Kiedy zniknął mi z oczu, zamknęłam drzwi. Wróciłam do pokoju. Serce przestało mi walić jak oszalałe, ręce zrobiły się znowu ciepłe.

— Mam nadzieję, że niedługo znajdzie mordercę — powiedziała mama, zagryzając dolną wargę.

— I ja mam taką nadzieję — powtórzyłam za nią.

Mama wstała. Wzięła książkę.

— Idę na górę trochę poczytać. Nie mogę odłożyć tej książki, dopóki jej nie skończę. Nawet jeśli miałyby mnie śmiertelnie przestraszyć.

Pożegnała się z Hillary i poszła do swojego pokoju. Poczekalam, aż wejdzie na górę. Potem szepnęłam do Hillary:

— Myślisz to samo, co ja?

— Chodzi ci o wyznanie policjantowi tego, co wiemy? Skinęłam głową.

— Byłam już na granicy...

Urwałam, gdy zobaczyłam, że za oknem gościnnego pokoju coś mignęło. Jak gdyby czyjś cień. Błyskawiczny ruch na trawniku przed domem.

Zgasiałam światło. W kompletnych ciemnościach podeszłam do okna i zobaczyłam go.

Zobaczyłam go wyraźnie. Sandy.

— Och! — jęknęłam cichutko i dałam znać Hillary, żeby się zbliżyła.

66

Przyłożyłyśmy do oczu zwinięte dłonie, żeby lepiej widzieć.

— To Sandy — szepnęłam. — Schował się za drzewem

— Ktoś nas śledził! — Hillary z trudem utrzymała ściszony głos. — To był Sandy.

— Co on tu robi? — zapytałam. — Może myśli, że powiedziałyśmy o nim policjantowi? Sądzi, że go zdradziłyśmy?

Hillary milczała.

Obserwowałyśmy go, skulonego za szerokim pniem drzewa. Światło księżycy przebijało przez liście i oświetlało ziemię tuż przed nim. Twarz miał częściowo ukrytą w niebieskawym cieniu.

— On... on jest straszny — wymamrotała Hillary.

— Dlaczego tam stoi? — zastanawiałam się. — Próbuje nas przestraszyć? Co tam robi?

rozdział 17

Pobiegłyśmy do drzwi.

— Sandy! Sandy! — wołałam go, wychylona w ciemność.

Żadnej odpowiedzi.

Dostrzegłam, że cofnął się w głębszy cień.

— Gdzie on jest? — zapytała cicho Hillary. — Co robi?

Głos się jej załamał. Miałam wrażenie, że jest przestraszona. Bała się Sandy'ego. Ja też. Nagle zaczęłyśmy się obawiać naszego starego przyjaciela. Przyjaciela dziwnie się zachowującego. Próbującego nas przestraszyć.

— Jest tam — szepnęłam, wskazując ręką.

Zobaczyłyśmy go. Stał pochylony za żywoplotem. Po chwili pobiegł ulicą w dół. Patrzyłyśmy za nim, dopóki nie zniknął nam z oczu. Zamknęłam drzwi. Drżałam ze zdenerwowania.

Dlaczego się tak zachowywał? Dlaczego nas śledził? Czego chciał?

— Dziwne — mruknęłam. — Bardzo dziwne.

67

Nie wiedziałam, że to dopiero początek. Dwa dni później Sandy znowu nas przestraszył. Po lekcjach przechodziłam koło sali gimnastycznej. Podwójne drzwi były otwarte. Usłyszałam, że ktoś mnie woła.

Kilkunastu chłopaków biegało po parkiecie. Podawali sobie piłkę, dryblowali i rzucali ją do kosza.

— Cześć, Julio, jak leci? — zawołał Vincent. Tuż za nim Sandy podskoczył i z całej siły wyrzucił piłkę w stronę kosza. Nie trafił. Ktoś się roześmiał. Sandy rzucił mu gniewne spojrzenie. Inny chłopak przejął piłkę, ale Sandy wybił mu ją gwałtownie i złapał ze złością.

— To nie jest poważna gra. Wygłupiamy się — wytłumaczył Vincent. — Poczekaj na mnie chwilę, to odprowadzę cię do domu.

Serce podskoczyło mi z radości. Vincent chce mnie odprowadzić do domu? Zaczął w końcu odczuwać podobne wibracje?

Pewnie chce pożyczyć notatki z historii, pomyślałam wzdychając. Ale rzuciłam plecak na podłogę, oparłam plecy o ścianę i zaczęłam się przyglądać grze.

Wszyscy chłopcy bawili się w najlepsze. Dryblowali i wariacko rzucali piłką, która rzadko kiedy trafiała do kosza. Nikt nie traktował tej gry poważnie. Nikt, oprócz Sandy'ego.

Kilka minut później Sandy i Vincent jednocześnie złapali piłkę. Vincent szepnął coś Sandy'emu. Sandy przestał dryblować. Z całej siły odepchnął Vincenta obiema rękami. Vincent otworzył usta ze zdziwienia. — Hej! Ja tylko żartowałem!

Sandy spojrział na niego spode łba i wrócił do przerwanej gry. Vincent pobiegł za nim. Spróbował wybić mu piłkę od tyłu. Myślę, że robił to nadal dla hecy.

Gdy Vincent przejął piłkę, Sandy głośno zaklął. Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Jeden z nich zawołał:

— Ale łamaga!

— Maślane paluchy! — krzyknął inny.

68

Sandy'emu nie było do śmiechu. Zrobił się cały czerwony. Wstrzymałam oddech. Wyglądało na to, że nagle wpadł w popłoch.

Vincent nie zdawał sobie chyba sprawy, jak bardzo Sandy był wściekły. Obrócił się na pięcie i radośnie zakręcił piłką tuż przed jego nosem. Wyciągnął do niego piłkę, a potem szybko ją cofnął.

Sandy wrzasnął. Wpadł w szal. Zupełnie stracił panowanie nad sobą. Zaklął szpetnie i wyrwał koledze piłkę. Vincent cofnął się gwałtownie.

Sandy z całej siły cisnął w niego piłką.

— Nieee! — krzyknęłam przerażona i podbiegłam do nich.

Vincent jęknął i osunął się na kolana. Nie mógł złapać tchu. Krew napłynęła mu do twarzy.

Upadł na podłogę. Pochyliłam się nad nim. Potrząsałam go za ramię i powtarzałam jego imię. Chłopcy stanęli wokół nas. Wszyscy oprócz sprawcy zamieszania. Dostrzegłam kątem oka, że Sandy wychodzi z sali. Nadal był czerwony i mruczał coś pod nosem. Więcej się nie pojawił.

Vincent jęczał. Przewracał oczami.

Na szczęście nic mu się nie stało.

Rozejrzał się dookoła. Szukał wzrokiem Sandy'ego.

— Przyjacieli! — mruknął, kręcąc głową. — Niezły przyjaciel!

Sandy już nie jest naszym przyjacielem, pomyślałam z goryczą, pomagając Vincentowi wstać. Jest naszym wrogiem.

W sobotę wieczorem wybieraliśmy się z Hillary do kina, obejrzeć nowy film Keanu Reeves.

Zadzwoiłam do Vincenta, zapytać, czy nie chce pójść z nami.

— Umówiłam się z Hillary na deptaku. Idziemy na ósmą do kina.

Możesz przyjść?

Proszę, pójdz z nami — błagałam go w duchu. Chciałam, żeby ktoś mnie trochę rozweselił.

Chciałam, żeby on mnie rozweselił.

— Nie mogę — powiedział. — Rodzice nadal mnie pilnują. Jestem częściowo uziemiony.

— Częściowo?

— Tak. To zależy od ich nastroju. Dziś wieczorem nawet nie będę

69

próbował ich przekonywać. W domu piekło. Słyszę właśnie, że się na siebie wydzierają.

— Szkoda — westchnęłam, nie mogąc ukryć rozczarowania. —

Muszę lecieć. I tak się spóźnię. Może później do ciebie zadzwonię?

— Dobrze. Do usłyszenia — powiedział załamany głosem.

Myślałam o Vincencie pędząc do kina. Wspominałam jego, Taylor

i Sandy'ego. Na początku tego roku szkolnego świetnie się razem bawiliśmy. Za chwilę będziemy zdawać maturę i mam wrażenie, że wszystko się jakoś psuje.

Gdyby było tak, jak dawniej, zadzwoniłybyśmy z Hillary do Sandy'ego i Taylor.

Umówiłybyśmy się z nimi w kinie albo razem poszły gdzieś indziej.

Ale teraz nie miałyśmy ochoty spotkać się z żadnym z nich. Taylor nie jest temu winna. Nie

mamy jej nic do zarzucenia. Ale ona po prostu zawsze wychodzi z Sandym. A Sandy jest

mordercą. Mordercą. Mordercą. Mordercą.

Jechałam powtarzając w myślach to słowo, aż straciło jakikolwiek sens.

Morderca.

Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek w życiu będę używać tego słowa. Pasowało do gazet i programów telewizyjnych. Ale nie do mojego życia.

Potrząsnęłam głową, próbując to słowo z niej wyrzucić. Na ulicy Division był okropny korek. W sobotnie wieczory jest tu zwykle tłok, ale nie aż taki. Na środkowym pasie utknęła zepsuta ciężarówka i zablokowała ruch.

Dotarłam do centrum za minutę ósma. Dwa razy objechałam okoliczne uliczki, zanim znalazłam wolne miejsce do zaparkowania. Potem pędem pobiegłam spotkać się z Hillary.

Stała przy okienku z biletami. Ubrana była w koszulkę z krótkim rękawem, czarne dżinsy i rozpiętą kurtkę z czerwonego zamszu.

— Przepraszam — zawołałam zdyszana.

Korytarz był prawie pusty. Wszyscy już weszli na salę.

— Kupiłam bilety — powiedziała, ruszając do drzwi. — Dopiero idą reklamy. Jeszcze się nie zaczęło.

Podawała mi mój bilet.

— Usiądź z przodu — poprosiłam. — Zaraz przyjdę. Muszę jeszcze skoczyć do toalety. Hillary weszła na salę, a ja pobiegłam wąskim czerwonym chodnikiem do ubikacji. Otwierając drzwi wpychałam bilet do kieszeni. Nie patrząc przed siebie wpadłam do środka. Prosto na Taylor.

rozdział 18

— Och! — zawołałyśmy zdziwione. Potem zaczęłyśmy mówić jedna przez drugą:

— Nie wiedziałam, że też się wybierasz na ten fjm!

— Właśnie o tobie myślałam!

— Gdzie siedzisz?

— W tylnym rzędzie z brzegu.

— Hillary też tu jest.

Taylor wyglądała naprawdę prześlicznie. Jasnozółte włosy gładko zaczesana do tyłu i spięta niebieską spinką, mającą taki sam kolor, jak jej bluza. Pełne usta umalowała ciemnoczerwoną szminką. Była bardzo seksowna.

Ucieszyłam się, gdy ją zobaczyłam. Ale moja radość trwała krótko. Sympatię do Taylor błyskawicznie przestłoniła niechęć do Sandy'ego.

Wyraz jej twarzy też się zmienił. Z zielonych oczu powiało chłodem.

— Nie widzimy was ostatnio za często — powiedziała z wyrzutem.

Wsadziłam ręce do kieszeni spodni.

— No, wiesz... — wyjąkałam. — Matura i... Kiepska sprawa. Naprawdę kiepska.

— My też zdajemy maturę — odparła ostro.

— Eee... może pójdziemy na salę — bąknęłam, zmierzając do drzwi. — Film... Nie znoszę oglądać filmów nie od początku, bo po tem nigdy nie mogę się połapać, o co chodzi.

70

71

Spojrzała mi prosto w oczy. Nie spieszyło się jej.

— Myślałam, że Sandy był twoim bliskim przyjacielem — powiedziała.

— Tak, był — odparłam. — To znaczy jest nim nadal! Poczułam, że pieką mnie policzki. Musiałam się zaczerwienić.

— Po prostu byłam zajęta i...

— Sandy nie jest mordercą! — zawołała gwałtownie.

Jej oczy błyszczały gniewem. Przez chwilę straciła panowanie nad sobą.

Wzięłam głęboki oddech.

— Sądziliśmy, że nadal się z nami przyjaźnisz — ciągnęła trochę spokojniejszym tonem. — Sandy jest urażony. Myślał, że nic się nie zmieniło.

— Muszę... już naprawdę muszę poszukać Hillary — wyjąkałam. Odwróciłam się do drzwi, zdecydowana przerwać tę rozmowę. Lecz nagle stanęłam. Wybuchnęłam:

— Powtórzyłaś Sandy'emu to, co o nim mówiłyśmy z Hillary? Otworzyła usta ze zdziwienia. Przednie zęby miała ubrudzone szminką.

— Słucham? — zapytała pocierając palcem jasną brew.

— Podśluchiwałaś nas. Koło podium, po próbnej maturze. Czy powtórzyłaś Sandy'emu naszą rozmowę?

Potrząsnęła głową, patrząc na mnie jak na raroga.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie słyszałam żadnej rozmowy. Nie mam w zwyczaju podśluchiwać przyjaciół!

Poczułam ulgę.

Ale po chwili zorientowałam się, że Taylor kłamie. Widać to było po wyrazie jej zimnych, zielonych oczu. Na pewno nas podśluchiwała. I powtórzyła to Sandy'emu.

— O rany... już się zaczęło — powiedziałam. — Spotkamy się po filmie. Kolejne kłamstwo.

Jedno kłamstwo ciągnie za sobą następne.

72

Odwróciłam się, pchnęłam drzwi i popędziłam na salę.

*

W poniedziałek wieczorem mieliśmy kolejną próbę matury. Tym razem przymierzaliśmy stroje. Zakładaliśmy togi, birety i ćwiczyliśmy to, co mamy robić.

Próby trwały strasznie długo. Zrobiło się zamieszanie ze strojami. Niektórzy dostali znacznie za duże togi.

Potem pianista grał „Paradę i Ceremonię” i ciągle się mylił. Dostaliśmy histerycznego napadu śmiechu. Tej nocy wszystko wydawało się nam bardzo zabawne. Musieliśmy zacząć od początku.

A potem jeszcze raz i jeszcze raz.

W końcu byliśmy okropnie zmęczeni. Zmęczeni śmiechem i maszerowaniem dookoła audytorium. Było nam strasznie gorąco i pociliśmy się w granatowych togach, które z każdym krokiem robiły się coraz cięższe.

Kiedy odwiozłam Hillary, była prawie jedenasta. Do domu dotarłam jeszcze później.

Światła były pogaszone. Rodzice pojechali odwiedzić kuzynów mieszkających w Old Village. Zwykle zostawiają włączoną lampę na ganku, ale tym razem widocznie zapomnieli.

Samochodowe reflektory oświetliły drzwi garażu. Zmieniłam bieg na luz i wysiadłam. Pilota do otwierania garażu znalazłam pod krzakiem, tam gdzie go zwykle chowamy. Nacisnęłam przycisk i drzwi powoli zaczęły się podnosić.

Odłożyłam pilota z powrotem do skrytki. Wsiadłam do samochodu i ostrożnie wjechałam do garażu. Jest to bardzo małe pomieszczenie, strasznie zapchane kosiarkami do trawy, rowerami i innymi rupieciami.

Marząc o prysznicu i czymś zimnym do picia, wyłączyłam silnik, światła i wysiadłam z samochodu. Powitał mnie ostry zapach farby. Tata malował tego dnia ogrodenie za domem.

Aby dotrzeć do drzwi, prowadzących z garażu do kuchni, trzeba obejść dookoła samochód. Po drodze grzebałam w plecaku. Szukałam klucza. Było strasznie ciemno i nic nie widziałam.

Nagle usłyszałam jakiś hałas. Zgrzyt metalu i głośny chrobot.

Odwrociłam się i ze zdumieniem zobaczyłam, że drzwi od garażu powoli się opuszczają.
— Hej! — krzyknęłam.

73

Włosy stanęły mi dęba z przerażenia. Wstrzymałam oddech. Popatrzyłam na podwórko.

— Hej, kto tam jest? — zawołałam piskliwie, usiłując przez krzyczeń szczęk zamykających się drzwi.

Zamarłam w bezruchu. Ze strachu nogi wrosły mi w ziemię. Nie mogłam się zdecydować, czy przykucnąć i uciec, przechodząc pod opadającymi drzwiami, czy dalej szukać kluczy i próbować dostać się do domu.

Drzwi były w połowie drogi, gdy rozległ się odgłos kroków. Ktoś wszedł do garażu.

— Kto tam? — pisnęłam. — Czego chcesz?

Cisza.

Sięgnęłam ponownie po klucze, ale torba wypadła mi z drżących rąk. Uderzyła o beton.

Usłyszałam klekot wypadających rzeczy.

Nawet nie spojrzałam w dół. Obserwowałam czyjąś ciemną sylwetkę, zbliżającą się do mnie powoli.

— Hej! — z gardła wyrwał mi się okrzyk przerażenia.

Drzwi z łoskotem uderzyły o ziemię.

Znowu cisza.

Jestem w pułapce, pomyślałam.

Po omacku zaczęłam dotykać rzeczy leżących na półkach przymocowanych do ściany. Szukałam czegoś, co mogłoby mi posłużyć jako broń. Sekatora, kija od szczotki, czegokolwiek!

— Kim jesteś? Czego chcesz? — zapytałam drżącym głosem.

Przez małe okienko w drzwiach wpadał do garażu wąski snop światła. Intruz wszedł w księżycową smugę. Sandy!

— Cześć, Julio, to ja — powiedział spokojnie.

W srebrzystym świetle dostrzegłam uśmiech na jego twarzy. Dziwny, nieprzyjemny grymas.

— Sandy! Ale masz pomysły — zawołałam. Strach ustąpił miejsca złości.

— Okropnie mnie przestraszyłeś! Milczał.

Pochylił się. Zobaczyłam, że podnosi z podłogi jakiś przedmiot. Coś błysnęło.

74

Sandy uniósł do góry moje rolki. Trzymał je przed sobą i ruszył w moim kierunku.

— Stój, Sandy! — wrzasnęłam. — Co robisz?

rozdział 19

Chciałam się cofnąć, ale uderzyłam plecami o samochód. Podniósł rolki. Trzymał je wysoko ponad moją głowę.

— Sandy! — krzyknęłam, wyrzucając ręce w obronnym geście.

— Nie powinnaś ich zostawiać na podłodze — powiedział łagodnie. — Ktoś mógłby się o nie potknąć.

Położył je na półce.

— Ktoś mógłby zrobić sobie krzywdę — dodał szeptem.

Westchnęłam z ulgą.

Uśmiechnął się do mnie, zadowolony ze swojego idiotycznego dowcipu.

— To wcale nie jest zabawne — warknęłam, próbując opanować łomotanie serca. — Dlaczego próbujesz mnie przestraszyć?

Wzruszył ramionami. Przysunął twarz blisko do mojej. Ciemne oczy patrzyły na mnie lodowato.

— To ty mnie próbujesz przestraszyć!

— Nie... nie wiem, o co ci chodzi — wyjąkałam, odsuwając go obiema rękami.

Czy to naprawdę Sandy? — zastanawiałam się, spoglądając na jego zimny, złośliwy wyraz twarzy. To ten sam chłopak, z którym przyjaźniłam się od podstawówki?

— W jaki sposób mogłabym cię przestraszyć? — zapytałam.

— Rozmawiałaś z policją — odparł szorstko. — Bardzo mnie nastraszyłaś.

— Przyznajesz się, że mnie śledziłeś! — zawołałam. — To ty podglądałeś nas zza drzewa! Znów wzruszył ramionami.

— A jeśli nawet, to co z tego? — mruknął.

75

— Ależ, Sandy...

Przerwał mi.

— Zobaczyłem samochód policyjny. Ciekawy byłem, co się dzieje, więc patrzyłem sobie. Wielka sprawa.

— Przecież nie przechodziłeś przypadkowo koło mojego domu. Śledziłeś mnie i Hillary. Czy ty już nie potrafisz mówić prawdy? — zawołałam. — Nie potrafisz?

Puścił to pytanie mimo uszu. Spojrzał mi w oczy.

— Julio, dlaczego zadzwoniłaś na policję? Możesz" mi odpowiedzieć? Dlaczego ich wezwałaś?

— Nigdzie nie dzwoniłam — warknęłam ostrzej, niż miałam za miar. — Nikogo nie wzywałam. Komisarz Reed czekał na mnie w do mu po próbnej maturze. Przyjechał zadać mi jeszcze kilka pytań. Czy policja ciebie też znowu przesłuchiwała?

Skinął głową.

— Nie dają za wygraną — wymamrotał. — U mnie w domu też byli.

— Twierdzą, że są już bliscy rozwiązania sprawy — powiedziałam.

Jego oczy błysnęły płomieniem

— Nie! Nic nie wiedzą. To kłamstwo. Nie wierz im, Julio. Mówią dziennikarzom, że są na tropie, żeby nie wypaść źle w telewizji. Ale nie mają zielonego pojęcia, kto to zrobił.

Pochylił się i spojrzał na mnie spode łba.

— Chyba że ty coś im powiedziałaś.

— Nie! — zawołałam, próbując odsunąć się od niego jak najdalej. — Nie powiedziałam ani słowa. Przysięgam!

Spojrzał mi w oczy, tak jakby szukał w nich potwierdzenia prawdy.

— Przysięgam! — powtórzyłam.

Patrzyłam na jego nachmurzoną twarz. Nawet w przyćmionym świetle widziałam, że pot spływa mu po czole.

— Zastanów się nad sobą! — zawołałam. — Zupełnie pomie szło ci się w głowie. Jeśli myślisz, że cię wydamy policji, to dlaczego nam o tym powiedziałaś? Dlaczego wyznałeś nam prawdę?

Wydał z siebie zduszony okrzyk.

— Bo wam zaufałem! — wrzasnął, ciężko dysząc. — Ale te raz...

— Co teraz? — zapytałam.

Potrząsnął głową. Nie odpowiedział.

— Musimy dać sobie z tym spokój — mruknął w końcu, wbijając wzrok w podłogę. — Naprawdę. Trzeba zapomnieć o tym, co się stało.

— W jaki sposób? — zawołałam. — Policja nie pozwoli nam zapomnieć. Ty nam nie pozwolisz.

— Urządzam imprezę — powiedział, podnosząc na mnie oczy. — U mnie w domu. W następny piątek. Taka przedmaturalna impreza. Zabawa pod tytułem „wróćmy do starych dobrych czasów”. Przyjdź o ósmej, dobrze? Zaproszę Hillary, Vincenta i wielu innych znajomych.

To niemożliwe! — pomyślałam.

Zamyka mnie w garażu. Umyślnie próbuje mnie przestraszyć. A potem zaprasza na imprezę? Przełknęłam ślinę.

— Eee... chyba nie będę mogła przyjść — powiedziałam, starając się mówić spokojnie i bezbarwnie.

Zacisnął zęby. Poza tym ani drgnął.

— Jestem już umówiona na piątkowy wieczór — skłamałam.

Pokiwał głową. Jeszcze mocniej zacisnął szczęki. Miał zawzięty, zimny wyraz twarzy.

— Taak. Dobrze — mruknął z goryczą w głosie.

— Sandy, naprawdę... — zaczęłam.

— Dobra, dobra.

Złapał mnie za ramię tak mocno, że aż zabołało.

— Wymyśliłem tę historyjkę o imprezie. Nie urządzam żadnego przyjęcia. To był tylko sprawdzian.

— Sprawdzian? — spytałam, próbując wyswobodzić rękę.

— Oblaś go.

Odepchnął mnie brutalnie.

— Źle wypadłaś na moim sprawdzianie, Julio. Ale ostrzegam cię.

Masz zapomnieć o tym, co się stało. Ty, Hillary i Vincent musicie sobie z tym poradzić.

Spojrzałam na niego przerażona. Nie ostrzegał mnie, tylko straszył. Groził nam.

— Musimy zachowywać się jak dawniej, tak jak gdyby nic się nie stało — powiedział.

76

77

— A jeśli... jeśli się nam to nie uda? — wyjąkałam. Drzenie głosu zdradziło mu, że się boję.

— Ostrzegam cię — powtórzył.

Okręcił się na pięcie i nacisnął przycisk pilota. Zahuczał silnik, drzwi zgrzytnęły i zaczęły się

podnosić.

Pochylił się i wygramolił na zewnątrz. Rzucił pilota w krzaki i zniknął w ciemnościach. Stałam w ciemnym garażu, obejmując się obiema rękami. Starłam się utulić, podtrzymać, opanować dreszcze i spazmy strachu. Przed oczyma ciągle miałam zimne, złe spojrzenie Sandy'ego.

rozdział 20

— Mnie też groził — szepnęła Hillary. — Przyszedł do mojego domu i usiłował mnie nastraszyć.

— Mnie przestraszył — przyznałam.

Stałyśmy w drzwiach stołówki, trzymając w rękach torebki z drugim śniadaniem. Szukałyśmy wzrokiem wolnych miejsc. Dostrzegłam Sandy'ego przy stoliku koło okna. Rozmawiał z Taylor, siedzącą naprzeciwko niego, plecami do nas.

Deszcz bębnił o szyby. Sala była zatłoczona, wszyscy rozmawiali, ale słyszałam dochodzące z oddali pomruki grzmotów. Paliło się górne światło, lecz do stołówki wdzierał się mrok zza okna.

— Gdzie siadamy? — zapytała Hillary.

Pomachała do Deeny Martinson, zajmującej najbliższy stolik. Dee-na i jej przyjaciel, Jadę Smith, siłowali się na ręce. Siedzący z nimi śmieli się i zagrzewali ich okrzykami.

— Sandy nas zauważył — powiedziałam. — Patrzy na nas.

Oczekuje, że z nimi usiądziemy.

Spostrzegłam, że Taylor się odwróciła i też nas obserwuje.

— No i co z tego? Chcę w spokoju zjeść drugie śniadanie — odparła Hillary.

Położyła torbę na stoliku w lewym rogu sali i odsunęła krzesło.

78

Starając się nie patrzeć w stronę Sandy'ego i Taylor, usiadłam naprzeciwko.

— Może pomyślą, że ich nie widziałyśmy — powiedziałam.

Hillary skrzywiła się.

— Guzik mnie obchodzi, co sobie pomyślą. Nie mam zamiaru siedzieć z Sandym. Może mnie straszyć i mówić, że wszystko musi być jak dawniej. Już nie jest moim przyjacielem.

Wyciągnęłam z torby kanapkę z tuńczykiem. Zerknęłam za okno. Zagrzmiało tak głośno, że kilka osób w sali podskoczyło na krzesłach. Sandy i Taylor nadal się na nas gapili. Sandy mówił coś szybko i agresywnie.

Odwróciłam głowę do Hillary.

— Sandy zupełnie zwariował — powiedziałam. — Próbuje mnie śmiertelnie przestraszyć. Chce dać mi do zrozumienia, że coś mi zrobi, jeśli powiem policji, że to on jest mordercą. A potem proponuje, żebyśmy byli przyjaciółmi, tak jak dawniej.

Kanapka wypadła mi z ręki. Położyłam tuńczyka z powrotem na chleb.

— Nie ma mowy, żeby cokolwiek było tak, jak kiedyś — powiedziała Hillary, smutno kręcąc głową.

Zwisające z jej uszu długie, srebrne kolczyki zakołysały się.

— Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę się czuła normalnie.

Nie mogę w nocy spać. Nie potrafię skupić się na nauce. Nie mam apetytu.

Odsunęła od siebie kubeczek jogurtu.

— Hej! Tam jest Vincent — zawołałam. Podniosłam rękę i pomachałam do niego.

— Hej, Vincent! Vincent!

Podążyłam oczami za jego wzrokiem. Też zobaczył Sandy'ego i Taylor. Potem usłyszał mój głos i podszedł do naszego stolika.

— Cześć! Co się dzieje? — zapytał, zerkając na Sandy'ego.

Nie czekając na odpowiedź, oparł ręce o stół i spoważniał.

— Sandy zadzwonił do mnie dziś w nocy. Chyba zupełnie oszalał.

Straszył mnie. Uwierzyć? Groził mi.

Po lekcjach poszłam z Hillary do sekretariatu szkoły. Wysłali do Princeton nie te dane, które powinni. Musiała to wyjaśnić.

79

Załatwianie tego zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczałyśmy. Gdy wychodziłyśmy z sekretariatu, szkoła była już prawie pusta.

Hillary utyskiwała na bałagan, spowodowany przez komputery. Skręciłyśmy za róg i wpadłyśmy prosto na Taylor.

— Cześć! Jak leci? — zapytałam, usiłując przybrać naturalny ton głosu.

Powiedziałam jej, że podoba mi się sposób, w jaki związała włosy. Zamilkłam, gdy zobaczyłam, że na jej twarzy maluje się wściekłość.

Domyśliłam się, że nie spotkałyśmy jej przypadkiem. Czekala na nas.

— Sandy jest urażony — wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Na skroniach miała ładne, delikatne żyłki. Jedna z nich pulsowała.

— Naprawdę go zraniłyście.

— Przykro mi — odparłam błyskawicznie.

Nie chciałam klócić się z Taylor. Nie miałam powodu. Ku mojemu zdziwieniu Hillary zareagowała ze złością.

— Nic nas to nie obchodzi — powiedziała. — Mamy gdzieś to, co on o nas myśli. Wiem, że tobie nadal na nim zależy. Ale nam nie.

Sądzymy, że Sandy jest... jest...

— Chyba nie wiesz, co mówisz! — przerwała jej Taylor.

Błede zazwyczaj policzki pokrył rumieniec. Żyłki pulsowały i drżały na jej skroniach.

— Nawet nie wiesz, jakim on jest dobrym chłopakiem. Jak możesz go tak traktować?

— Dobry? — zawołała piskliwie Hillary. — Jest dobrym chłopakiem? Taylor, czy ty zupełnie straciłaś głowę? Wiesz przecież, co on zrobił. Nie możesz mieć aż takiego bzika na jego punkcie. Uważasz, że on jest dobry?!

Spojrzałam na Taylor. Serce zaczęło mi strasznie łomotać. Byłam zdumiona, że Taylor zdecydowała się na rozmowę z nami.

Nigdy nie przypuszczałam, że Taylor aż tak bardzo zależy na Sandy'ym. Przecież on wcale nie był w jej typie. I w dodatku przez cały czas, kiedy z nim chodziła, flirtowała ze wszystkimi możliwymi chłopakami z naszego liceum!

80

— Sandy zrobił to dla nas wszystkich! — oświadczyła Taylor, ciskając słowami w Hillary. — I jak potem zachowują się jego przyja-

ciele? Odwracają się i udają, że on w ogóle nie istnieje. To jest... to jest tak obrzydliwe, że...

Podniosła zaciśnięte pięści. Jej twarz płonęła purpurą.

— Taylor, co ty chcesz nam udowodnić? — zawołałam. — Nie możesz nas zmusić, żebyśmy

znów polubiły Sandy'ego! Nie możesz nas zmusić, żebyśmy zapomniały.

— Julia ma rację. Zostaw nas w spokoju — dodała szorstko Hillary i spróbowała wyminąć Taylor.

Zobaczyłam, że oczy Taylor rzucają gniewne, dzikie błyski. Była czerwona jak burak. Kipiała ze złości. Wydała z siebie chrapliwy okrzyk i złapała Hillary za warkocz.

— Puszczaj! — zawołała Hillary.

Taylor szarpnęła mocno, wykręcając głowę Hillary.

Jedną ręką przejechała po jej szyi i natychmiast pojawiły się na niej głębokie ślady zadrapań.

Hillary wrzasnęła. Złapała Taylor w pasie obiema rękami i przewróciła ją na podłogę.

— Przestańcie! Przestańcie! — jęczałam, obserwując je bezradnie.

Patrzyłam osłupiała, jak kotłują się po podłodze, waląc i drapiąc gdzie popadnie, sapiąc i dysząc. Minęło kilka sekund, zanim wzięłam się w garść. Pochyliłam się nad nimi. Złapałam Taylor za ramiona. Wyteżyłam wszystkie siły, żeby ją odciągnąć od Hillary.

— Przestańcie! Przestańcie! Taylor, proszę cię! — błagałam.

Odpychała mnie. Nawet nie wiem, czy mnie słyszała.

Na podłodze szkolnego korytarza widać było jasnoczerwone ślady. Krew poplamiała sweter Hillary. Pomyślałam, że to krew z zadrapań na szyi.

— Taylor, proszę! Przestań!

W końcu zdołałam odciągnąć ją od Hillary. Upadła obok na podłogę. Zaczęła się podnosić, by wrócić do walki.

Ale stanęłam przed nią, zasłaniając jej drogę.

Hillary wstała chwiejnie. Przycisnęła jedną rękę do zranionej szyi. Drugą wyciągnęła w stronę Taylor.

— O co ci chodzi? Co się z tobą dzieje?

6 — Tajemnicze wyznanie 81

Taylor milczała. Stała zgarbiona dysząc i sapiąc głośno. Włosy zwieszały się jej na twarz mokrymi strąkami. Koszulkę miała podartą, z boku i na rękawie poplamioną krwią.

— O co ci chodzi — wrzasnęła Hillary. — Zwariowałaś? Czy ty... — urwała, gdy Taylor zaczęła wymiotować.

Taylor pochyliła się, dysząc, próbując złapać oddech. Odwróciła od nas głowę, strąki włosów przylegały jej do twarzy.

Z jej gardła wydarł się cichy jęk. Ciałem Taylor znów wstrząsnęły fale nudności. Drżącymi rękami usiłowała odsunąć włosy.

— O,rany! O,rany! Zrobiłam krok w jej stronę.

— Wszystko w porządku? Nie odpowiedziała.

— Taylor, nic ci nie jest?

Stała plecami do mnie. Skuliła ramiona. Na chwilę odwróciła do mnie głowę.

Wymiociny zabrudziły kodce jej włosów. Oczy miała zaczerwienione i wilgotne. Po czerwonych, pyzatych policzkach płynęły łzy.

— O, rany. O, rany — zawodziła Hillary.

— Taylor, może cię odprowadzić do domu? — zapytałam łagodnie. Potrząsnęła przecząco głową i nagle rzuciła się do ucieczki. Ruszyłam za nią, ale po kilku krokach stanęłam.

Taylor biegła, objając się ramieniem o ścianę. Po chwili zniknęła za rogiem. Nadal było słychać nierówny tupot, odbijający się echem w korytarzu.

Odwróciłam się do Hillary.

— Może pielęgniarka jeszcze nie wyszła — powiedziałam. — Ktoś musi rzucić okiem na twoją szyję.

— To tylko zadrapania — odparła drżącym głosem.

Kilka razy zamrugnęła powiekami. Pochyliła się i podniosła z podłogi okulary.

— Zdezynfekuję to po powrocie do domu.

Warkocz Hillary rozplótł się. Odgarnęła włosy na ramiona.

— Nie wierzę jej — powiedziałam, patrząc w stronę, gdzie pobiegła Taylor. — Nie sądzę, żeby aż tak bardzo zależało jej na Sandym.

82

— Nic mnie to nie obchodzi — sapnęła Hillary. — Nie interesuje mnie to, co myśli Taylor. Wiem jedno.

Wepchnęła bluzkę do spodni. Ręce się jej trzęsły. Mówiła cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

— Mam już tego dość. Przebrali miarę. Ruszyła do szatni. Szłam tuż za nią.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałam.

— Nie mam zamiaru dłużej trzymać języka za zębami. Nie pozwolę Sandy'emu zatruwać mi życia.

Popatrzyłam na nią zdumiona. Byłam pewna, że mówi poważnie.

— Co masz zamiar zrobić?

— Zadzwoń na policję — odparła. — Jak tylko przyjdę do domu.

rozdział 21

Spirałam się z Hillary, gdy szliśmy przez parking dla uczniów. Głowy wciskałyśmy w ramiona, bo padał deszcz. Pędziłyśmy do mojego samochodu. Nie wiem, dlaczego chciałam ją przekonać. Mnie też wiele razy kusiło, żeby zadzwonić na policję. Czułam się tak, jakby tajemnica Sandy'ego wypalała mi dziurę w piersi. Czasami wydawało mi się, że nie będę mogła normalnie oddychać, dopóki jej nie zdradzę. Dopóki komuś nie wyjawię prawdy.

Ale teraz, gdy wśliznęłam się za kierownicę, ocierając z czoła krople deszczu, błagałam Hillary, żeby nie zawiadamiała policji.

Dlaczego? Bo przyjaźniłam się z Sandym od podstawówki?

Może.

Albo dlatego, że Sandy wplątał nas w tę historię? Ponieważ byliśmy teraz związani z tym morderstwem i wyznanie prawdy mogłoby spowodować jakąś reakcję łańcuchową, która nas też by obciążyla?

Być może.

Może. Może. Może. Tak jak już powiedziałam, sama nie wiem, dlaczego starałam się przekonać Hillary.

83

— Al umarł — powiedziałam. — Wydanie Sandy'ego nie przywróci życia Alowi.

— No to co — mruknęła Hillary, patrząc prosto przed siebie przez przednią szybę. Kolana miała złączone, stopy oparte o deskę rozdzielczą.

— Nie ma sensu rujnować Sandy'emu życia — ciągnęłam, skrecając w ulicę Hawthorne'a.

Wycieraczki kiwały się rytmicznie. Ulewny deszcz zamienił się w mżawkę.

— To będzie dla niego koniec.

— No i dobrze — warknęła Hillary. — On zabił człowieka, Julio. A potem w zasadzie pochwalił się nam tym. Tak, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę.

— Przecież nie dlatego nam to wyznał — zaprotestowałam.

— To po co to zrobił? — zapytała ze złością w głosie.

— Chciał, żebyśmy poznali prawdę — odparłam.

— Dlaczego?

— Bo... nam zaufał i pomyślał, że powinniśmy wiedzieć, co się naprawdę stało.

— Ale po co? — powtórzyła Hillary niecierpliwie. — Nie rozumiesz, Julio, że mógł tę prawdę zatrzymać dla siebie? To nie zrobiłoby nam żadnej różnicy. Al nie żył. Ktoś go zabił. Nikt nie wiedziałby, kto. Dlaczego Sandy'emu zależało na przyznaniu się do winy?

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć. Ale tak naprawdę nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi.

— Bo chciał, żebyśmy go podziwiali — Hillary odpowiedziała na własne pytanie. — Pragnął, żebyśmy mu pogratulowali tego, co zrobił. Miał nadzieję, że uznamy go za bohatera. A przede wszystkim zależało mu na tym, żeby Taylor pomyślała, że jest wielkim macho. Westchnęłam.

— Chyba nie sądzisz, że zabił Ala, żeby zrobić wrażenie na Taylor!

Hillary potrząsnęła głową. Przymknęła powieki przysłonięte szklami okularów. Zastanawiała się przez chwilę.

— Nie. Myślę, że Sandy zabił Ala, ponieważ Al ośmieszał go i upokarzał na oczach Taylor. I dlatego, że Al nas wszystkich męczył

i zatruwał nam życie. Wzięła głęboki oddech. — Ale — ciągnęła — wydaje mi się, że wyznał nam prawdę, bo próbował wyrzucić wrażenie na Taylor.

— I udało mu się — powiedziałam wzdychając. — Teraz Taylor ma takiego fioła na jego punkcie, że jest gotowa walczyć z każdym, kto nie lubi Sandy'ego. Nie mogę uwierzyć, że zaczęła się z tobą bić zupełnie bez powodu!

Hillary milczała. Zastanawiała się nad czymś głęboko. Z jej twarzy biło zdecydowanie. Mogłam być pewna, że moje argumenty spełzną na niczym.

— Powtórzę to jeszcze raz — powiedziałam, wyłączając wycieraczki. Zapaliłam przednie światła. Mimo że zegarek wskazywał dopiero wpół do piątej, niebo było czarne jak w nocy.

— Sandy zrobił coś potwornego — ciągnęłam. — I w dodatku nam o tym powiedział. Ale wydanie go w ręce policji zrujnuje całe jego życie. Nie przyniesie nikomu nic dobrego. Zarówno ty, jak i ja jesteśmy na niego wściekłe. Ale wiemy, że Sandy nie jest mordercą. Wiemy, że nigdy więcej już nikogo nie zabije. Czy masz prawo zrujnować mu życie, ponieważ powierzył ci, wbrew twojej woli, swój sekret? I dlatego, że jesteś zła na Taylor?

Hillary opuściła nogi na podłogę. Obróciła do mnie głowę.

— Wcale nie jestem pewna — powiedziała.

Zwolniłam i zatrzymałam samochód na czerwonym świetle. Znow zaczął padać deszcz.

— Czego nie jesteś pewna?
— Że on już nikogo nie zabije.
— Hillary, przecież... — zaczęłam.
— Groził nam — przerwała mi. — Próbował nas nastraszyć. Chciał zmusić nas, żebyśmy udawali, że nic się nie stało. Julio, on nad sobą nie panuje.

Z trudem przełknęła ślinę i przyłożyła palec do zranionej szyi.

— Skąd masz pewność, że nikogo więcej nie zabije?
Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Może miała rację. Spojrzałam przez okno. Wycieraczki zamazały szybę, tak że prawie nic nie było widać.

— Zawracaj — zażądała nagle Hillary. — Zawróć samochód!

85

— Co? — zapytałam przestraszona. — O co chodzi?
— Zmieniłam zdanie — powiedziała, prostując się na siedzeniu. Odgarnęła włosy do tyłu.
— Nie chcę jechać do domu. Zawieź mnie do Sandy'ego.
— Ej! — zawołałam. — Hillary, o co ci...
— Przekonałaś mnie. Nje zawiadomię od razu policji. Najpierw porozmawiam z Sandym. Przekonam go. Może namówię Sandy'ego, żeby sam zgłosił się na policję. Masz rację, Julio. Sandy jest przede wszystkim naszym starym przyjacielem. Jestem mu to winna. Muszę mu dać szansę zrobić to, co do niego należy.

Skreśliłam w najbliższą przecznicę i wycofałam samochód, kierując się w stronę Canyon Road, gdzie mieszkał Sandy.

— Idę z tobą — powiedziałam.

— Nie.

Hillary ścisnęła mnie za ramię.

— Dziękuję, ale nie. Chcę sama porozmawiać z Sandym. Jeśli pójdziemy tam obie, może wpaść w panikę. Pomyśli, że chcemy go do czegoś zmusić.

— Ale...

— Nie — ucięła stanowczo. — Przemyślałam to. Idę porozmawiać z nim sam na sam.

— Poczekam na ciebie w samochodzie — zaproponowałam. Potrząsnęła przecząco głową.

— Jedź do domu. Zadzwoń do ciebie, jak tylko wrócę. Obiecuję. Kilka minut później wjechałam na podjazd prowadzący do domu Sandy'ego. Obserwowałam Hillary idącą w strugach deszczu do drzwi. Otworzono jej po kilku sekundach. Zniknęła w środku.

Odczekałam jeszcze ze dwie minuty. Słuchałam pisku wycieraczek i warkotu silnika. Patrzyłam przez zamazaną szybę na drzwi domu.

Przez chwilę kusiło mnie, żeby nie posłuchać życzenia Hillary. Wsiąść z samochodu. Pójść za nią do Sandy'ego. Stać obok, kiedy będzie z nim rozmawiała.

Ale dałam sobie spokój. Włączyłam wsteczny bieg. Wyjechałam na ulicę i posłusznie skierowałam samochód do domu.

Po drodze jeszcze kilkakrotnie chciałam zawrócić.

Dlaczego ogarnęło mnie uczucie strachu? — zastanawiałam się,

86

jadąc samochodem w ten szary wieczór, przez lejące się strumienie deszczu.

Dlaczego czułam niepokój?

Dlaczego miałam przeczucie, że zdarzy się coś strasznego?

Trzy godziny później otrzymałam odpowiedź.

rozdział 22

Miałam zamiar jak najszybciej dotrzeć do domu, usiąść przy telefonie i czekać na wiadomości od Hillary. Ale deszcz spowodował korek na Mili Road. Wydawało mi się, że już nigdy nie dotrę na ulicę Strachu.

Gdy skręciłam w moją przecznicę, okazało się, że stare drzewa, których gałęzie zwieszały się nad jezdnią, zerwały przewody elektryczne. Było ciemno jak o północy.

Dlaczego muszę mieszkać na ulicy Strachu? — pytałam siebie.

Wszyscy znajomi dokuczali mi z tego powodu. Opowiadali przerażające historyjki o tej ulicy i dziejących się tam rzekomo okropnościach.

Nie wydaje mi się, żeby ulica Strachu była przerażająca. Jest na niej po prostu ciemniej niż gdzie indziej, bo rosną tam stare drzewa.

Udało mi się wreszcie dojechać. Pod kołami skrzypiał mokry żwir alejki podjazdowej. Samochód mamy stał już w garażu. Widocznie wcześniej wróciła do domu. Miałam nadzieję, że nic się nie stało.

Była w kuchni.

— Mamo?

Stała odwrócona do mnie plecami, ale dostrzegłam, że płacze.

— Mamo, co się stało?

— Kroję cebulę — odparła, odkręcając do mnie uśmiechniętą twarz. — Rady, żeby wstrzymać oddech lub zamknąć oczy, są na nic. Zawsze przy tym płaczę.

Westchnęłam z ulgą. Byłam przekonana, że mama dowiedziała się czegoś strasznego.

Przypomniałam sobie o Hillary i Sandym.

87

— Czy dzwoniła może Hillary? — zapytałam.

Wierzchem dłoni otarła łzy z policzków.

— Nie. Przecież dopiero wróciłaś ze szkoły. Dlaczego miałaby już dzwonić?

— Tak sobie — odparłam.

Deszcz bębnił o szybę. Brzmiało to tak, jakby ktoś pukał. Wzdrygnęłam się i zerknęłam za okno.

— Ale jesteś dzisiaj nerwowa — zauważyła mama.

— To... eee... z powodu deszczu — wyjąkałam. — Jak ci się udało przyjść tak wcześnie do domu?

Mama zaczęła kroić następną cebulę.

— Miałam wizytę u dentystki o wpół do czwartej, a potem pomyślałam, że już nie ma sensu wracać do biura.

— Co będzie na kolację? — zapytałam biorąc z lodówki puszkę Górskiej Rosy.

— Klopsy. Tata powinien wrócić za godzinę. Zdziwi się, że kolacja będzie tak wcześnie.

Zaczęły mnie szczypać oczy od cebuli.

— Pomóc ci? — zapytałam, myśląc znów o Hillary.

— Nie, dziękuję. Później możesz nakryć do stołu, jeśli będziesz miała ochotę.

— Nie ma sprawy — odparłam, mrugając zażawionymi oczami. — Idę do swojego pokoju.

Może spróbuję odrobić ćwiczenia z francuskiego przed kolacją.

Pognałam na górę, ale nawet nie otworzyłam zeszytu.
Usiadłam na łóżku i zaczęłam wgapiać się w stojący na nocnej szafce telefon.
No zadzwoń już, prosiłam go.
Nie posłuchał.
Gdzie się Hillary podziewa? — zachodziłam w głowę, czując, że mięśnie tężeją mi z napięcia.
Co robi tyle czasu?
Co dwie minuty spoglądałam na zegarek. Piąta trzydzieści. Piąta trzydzieści dwa. Piąta trzydzieści cztery.
Powinna już być w domu, pomyślałam.
Wstałam. Nogi miałam jak z waty. Zaczęłam chodzić w tę i z powrotem. W moim małym pokoju nie było na to zbyt wiele miejsca.
88

Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?
Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Zawiozłam tam Hillary i odjechałam.
Niezła ze mnie przyjaciółka.
Powinnam była z nią pójść. Dlaczego jej posłuchałam? Trzeba było nalegać. Powinnyśmy obie porozmawiać z Sandym.
A nie sama Hillary.
Żołądek podchodził mi do gardła. Ręce miałam zimne jak lód.
Klapnęłam znów na łóżko. Spojrzałam na telefon.
Proszę, ZADZWOŃ.
Zadzwoił.
— Och! — zawołałam przestraszona.
Podskoczyłam prawie do sufitu.
Złapałam słuchawkę, zanim zdążył przebrzmieć pierwszy dzwonek.
— Słucham? — zapytałam wstrzymując oddech.
— Julia?
— Tak?
— Dzień dobry. Mówi mama Hillary. Jak się masz?
— Eee... dobrze, proszę pani. Czy Hillary...
— Nie wiesz może, gdzie jest Hillary? — zapytała pani Walker.
— Prosiłam ją dziś rano, żeby nie spóźniła się na kolację. Musimy zjeść o szóstej, bo o siódmej idę z mężem na przyjęcie. Jest u ciebie Hillary?
Z trudem przełknęłam ślinę. Czułam się tak, jakbym miała w ustach pełno piasku.
— Nie, nie ma jej — odparłam niewyraźnie.
Dreszcz przeszedł mi po karku. Gdzie ona jest? Gdzie ona JEST?
— Została w szkole po lekcjach? — zapytała mama Hillary. — Mówiła, że miała jakieś kłopoty z danymi w papierach.
— Nie wiem — skłamałam. — Nie wiem, gdzie ona jest. Jeśli ją zobaczę...
— Prawdopodobnie utknęła w korku. To wszystko przez ten deszcz
— powiedziała. — Widziałaś już kiedyś takie urwanie chmury?
— Nie wygląda to najlepiej — mruknęłam, myśląc o Hillary i Sandym.

— Do widzenia, Julio — powiedziała pani Walker. Odłożyłam słuchawkę. Zamknęłam oczy.

— Hillary, żeby ci się tylko nic nie stało — szepnęłam. Zawiozłam ją do Sandy'ego.

Zawiozłam ją do domu mordercy.

Pozwoliłam jej pójść samej do niego. I powiedzieć mu, żeby zgłosił się na policję.

Co ja najlepszego zrobiłam? — zadawałam sobie pytanie, czując narastającą panikę. Oblał mnie zimny pot, siedziałam jak skamieniała.

Zostawiłam Hillary sam na sam z mordercą. Czy nie wyprawiłam jej na śmierć? Czyżby Sandy ją też zamordował?

— Kolacja!

Głos mamy przerwał moje przerażające rozmyślania.

— Julio, kolacja! Nie słyszysz? Ile razy mam cię wołać?

— Przepraszam. Już idę — odpowiedziałam.

Potrząsnęłam głową tak, jakbym próbowała wyrzucić z niej te okropne myśli.

— Zaczynasz wariować, Julio — ofuknęłam się, wstając.

Puściłam wodze fantazji. Niepotrzebnie wpadłam w panikę.

To niemożliwe, żeby Sandy zabił Hillary, wmawiałam sobie.

Niemożliwe. Niemożliwe.

On nie jest mordercą. Zabił Ala, ale to była inna sprawa. Podeszłam do lustra w drzwiach szafy.

Popatrzyłam na siebie. Byłam blada, miałam niespokojny wzrok i potargane włosy.

— Julio, co ty robisz? Zaraz wszystko wystygnie — zawołał zniecierpliwiony tata.

— Już idę!

Przejechałam szczytką po włosach i zbiegłam na dół.

Z trudem wpychałam w siebie klopsy i puree z ziemniaków. To było jedno z moich ulubionych dań, ale tego wieczoru jedzenie ledwo przechodziło mi przez gardło.

Rozmawiałam o maturze i szkole. Staralam się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i normalnie.

Nie mogłam jednak przestać myśleć o Hillary. O wizycie Hillary

90

u Sandy'ego. O Hillary mówiącej mu, że wyda go policji, jeśli on sam tego nie zrobi.

Telefon zadzwonił dopiero po kolacji, gdy stół był już sprzątnięty.

Biegając go odebrać, rzuciłam okiem na zegarek. Było piętnaście po siódmej.

Podniosłam słuchawkę.

— Julia? — zapytała Hillary cichym, zatroskanym głosem.

— Tak. Cześć. Co się stało? Jak ci poszło? — wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

— Julia? — powtórzyła.

Brzmiało to dziwnie. Tak, jakby się czegoś bała.

— Hillary, o co chodzi?

— Możesz przyjechać? Natychmiast? — zapytała drżącym głosem.

— Słucham? Przyjechać? — sapnęłam. — Dlaczego? Co się stało?

— Coś strasznego — odparła Hillary, ściszej głos. — Coś strasznego, Julio.

Cisza. Czekałam, aż coś jeszcze powie.

— O co chodzi? — wykrztusiłam.

— Zabiłam go — szepnęła Hillary tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam.

— Zabiłam go — powtórzyła. — Zabiłam Sandy'ego.

część trzecia

rozdział 23

Nie mam pojęcia, jak zdołałam dojechać do domu Hillary. Nie mogę przypomnieć sobie, czy deszcz nadal padał, czy nie. Nie potrafię odtworzyć przebiegu jazdy.

Nie zostało mi w pamięci nic oprócz strachu. I uczucia mdłości. I moich lodowatych wilgotnych dłoni, ślizgających się po kole kierownicy.

Co powiedziałam rodzicom, wychodząc z domu tak późno, w zwykły wieczór, w środku tygodnia?

O czym myślałam, gdy posłusznie pędziłam do Hillary?

Nic nie pamiętam. Tak, jakby urwał mi się film.

Myślę, że tego właśnie pragnęłam. Chciałam o wszystkim zapomnieć, zacząć życie od nowa.

Nie wiedzieć, że Al nie żyje, że Sandy go zamordował, dusząc sznurówkami od rolek.

Nie wiedzieć, że jeszcze jeden z moich kolegów zginął dziś wieczorem. Że Sandy'ego zabiła moja najlepsza przyjaciółka.

Nie chciałam pamiętać.

Ale nie można na zawsze wymazać z głowy niechcianych informacji. Gdy przekraczałam próg domu Hillary, wycierając buty o wycieraczkę, tłumione myśli i uczucia załyły mnie jak przetaczająca się nad głową fala oceanu.

Z gardła wyrwał mi się zduszony jęk. Zarzuciłam ręce na szyję Hillary. Przytuliłam chłodny policzek do jej twarzy. Zdziwiłam się, że jest tak rozpalona.

— Jeszcze im nie powiedziałam — szepnęła Hillary.

— Słucham?

Puściłam ją i zrobiłam krok do tyłu. Trzęsłam się jak galareta. Próbowałam opanować drżenie brody i powstrzymać napływające do oczu łzy. Gdybym zaczęła płakać, płakałabym bez końca. Dostrzegłam Taylor i Vincenta, stojących w zakłopotaniu na środku gościnnego pokoju.

94

Za wielkim oknem błysnął piorun i cienie moich przyjaciół podskoczyły. Oni jednak nie poruszyli się. Taylor miała na sobie luźną czerwoną bluzę i czarne legginsy. Jasne włosy opadały jej na ramiona. Ręce skrzyżowała na piersiach.

Vincent stał za nią. Zaczesaane do tyłu rdzaworude włosy były mokre. Pewnie spędził na deszczu dużo czasu. Wyglądał na jeszcze bardziej spiętego niż zwykle. Wyciągnął z kieszeni spodni wielkie łapska i najwyraźniej nie wiedział, co z nimi zrobić.

Spojrzał na mnie w dziwny sposób. Było to pół-pytanie, pół— uśmiech. Tak, jakby chciał zapytać, co się tu dzieje. Czy wiesz, po co dzisiaj się tu spotkaliśmy?

Wiedziałam.

Teraz przyszła kolej na Hillary, żeby wyznać nam coś przerażającego. Żeby nas zasmucić i przestraszyć.

— O co chodzi? — mruknął do mnie Vincent, ściskając i rozprostowując palce.

— Nie... nie wiem dokładnie — wyjąkałam, zerkając na Hillary.

Zachowywała się zadziwiająco spokojnie. Ale po zaczerwienionych oczach można było poznać, że płakała. Spostrzegła, że na nią patrzę. Wbiła wzrok w podłogę, dając mi do zrozumienia, że mam milczeć.

— Siadajcie — powiedziała.

Wskazała obiema rękami kanapę i krzesła, stojące niedaleko kominka.

Zagrzmiało tak nagle, że podskoczyłam i przygryzłam sobie dolną wargę. Na języku poczułam gorzką kroplę krwi. Za oknem pioruny strzelały jeden za drugim, puszczając w tan nasze cienie. Vincent i Taylor usiedli na kanapie. Ja przycupnęłam na brzeżku krzesła.

Hillary stała przyglądając się nam. W jej okularach odbiła się błyskawica. Moja najlepsza przyjaciółka nerwowo skubała warkocz, gładząc i obracając go między palcami.

— Zabiłam... Sandy'ego!

Wydeklamowała te słowa powoli, bezbarwnym, nie zdradzającym żadnych uczuć głosem. Patrzyła w okno.

Kolejna błyskawica mignęła w szklach jej okularów. Tak, jakby osłaniała ją, kryjąc wyraz jej oczu.

95

Taylor krzyknęła i poderwała się z kanapy. Skoczyła z wyciągniętymi do przodu rękami. Miałam wrażenie, że chciała rzucić się na Hillary.

Zerwałam się na równe nogi. Nie wiem, dlaczego. Może zamierzałam bronić Hillary?

Vincent z wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami stanął za Taylor. Nic nie powiedział. Nie sądzę, żeby uwierzył Hillary. Ja chyba też jej nie wierzyłam.

— Zabiłam Sandy'ego. Niechący. Ale zabiłam go — powtórzyła Hillary.

— Neeeeee! — przenikliwy, zwierzęcy skowyt wyrwał się z gardła Taylor.

Rzuciła się do przodu i chwyciła Hillary za ramiona.

— Neeeeee!

Ruszyłam w ich stronę. Czy Taylor znowu straci panowanie nad sobą? Zacznie bić Hillary?

— Pozwól mi wytłumaczyć! — zawołała Hillary, po raz pierwszy podnosząc głos.

Taylor, zdziwiona, puściła ją i zrobiła krok do tyłu.

— Siadajcie! — zarządziła Hillary ostrym tonem. — Pozwólcie mi wytłumaczyć. Przynajmniej dajcie mi szansę opowiedzieć, co się stało. To... to było takie straszne!

Przysiadłam na brzeżku swojego krzesła. Taylor, cała drżąca, wycofywała się, obserwując Hillary. Stała czujnie koło kanapy.

Vincent westchnął. Usiadł, pochylił się, oparł głowę na rękach i utkwiał wzrok w Hillary.

Hillary potarła czerwone zadrapania na szyi. Potem założyła ręce na plecach i zaczęła chodzić tam i z powrotem, opowiadając nam o wszystkim.

— Poszłam do Sandy'ego po lekcjach — powiedziała patrząc na Taylor. — To znaczy, Julia mnie tam podwiozła. I, i...

Głos się jej załamał.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła od nowa.

— Miałam już tego dość. Świadomość, że Sandy zamordował Alę, zatruwała mi życie. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Nie potrafiłam skupić się na niczym innym. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Za

96

każdym razem, kiedy spotykałam Sandy'ego, chciało mi się wrzeszczeć — ciągnęła Hillary. — Miałam ochotę płakać, chwycić go i potrząsnąć nim kilka razy. To było ponad moje siły. Jeszcze raz wzięła głęboki oddech. Pogłaskała warkocz i ruszyła w dalszą wędrowkę po pokoju.

— Poszłam do Sandy'ego dziś po południu błagać go, żeby zgłosił się na policję. Żeby wyznał im prawdę. Gdyby Sandy powiedział im, że Al nas szantażował, wyłudzał od nas pieniądze i straszył nas, zatruwając nam życie, może by to zrozumieli.

Hillary westchnęła głośno. Potrzebowała kilku sekund, żeby się uspokoić.

— Błagałam go, żeby poszedł na policję, ale nie chciał mnie słuchać. Odmówił. Potem mu powiedziałam, że jeśli on tego nie zrobi, to ja go wyręcę. Gdy to usłyszał, zaczął się wściekać. Stracił panowanie nad sobą.

Hillary wyciągnęła z kieszeni spodni pogniecioną chusteczkę. Przetarła nią szkła okularów i osuszyła oczy.

— Wpadł w szal — ciągnęła, ściskając w dłoni chustkę. — Nie wierzyłam własnym oczom. Nie sądziłam...

Głos uwiązał jej w gardle. Otarła łzy. Chustka drżała jej w ręku.

— Złapał tę ciężką rzeźbę, zrobioną przez jego mamę. Wiecie, to jego popiersie. Zaczął się na mnie wydierać. Krzyczał, że wszystko popsuję, że nie pozwoli mi zrujnować sobie życia. Podniósł do góry popiersie z brązu. Byłam pewna, że chce mnie nim uderzyć, rozwalić mi głowę.

Hillary zaczęła szlochać, ale ciągnęła opowieść.

— Ja też chwyciłam tę rzeźbę. Była znacznie cięższa, niż przypuszczałam. Zaczęliśmy się szamotać. Byłam przerażona. Naprawdę chciał mi coś zrobić. Nie panował nad sobą, wpadł w panikę. Pomyślałam, że ma zamiar mnie zabić!

Westchnęłam. Otarłam dłonią policzki. Były mokre od łez. Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę.

Hillary jeszcze raz osuszyła oczy i rzuciła zmiętą chusteczkę na podłogę.

— Sandy wrzeszczał jak opętany. Powtarzał w kółko: „Nie możesz wszystkiego popsuć! Nie pozwolę ci zniszczyć mojego życia!” I na gle... nagle...

7 — Tajemnicze wyznanie 97

Udało mi się wyrwać mu popiersie. Wypadło mi z rąk. Nie wiem, jak to się stało. Uderzyło go w potylicę. Sandy krzyknął. A raczej zawył. Z gardła wydarł mu się przeraźliwy jęk. Nigdy tego nie zapomnę.

Osunął się na podłogę. Coś potwornie trzasnęło. Myślę, że byłam w szoku. Nie pamiętam, co się dalej działo. Chyba się nad nim pochylałam...

Ale Sandy się nie ruszał. Ta rzeźba rozcięła mu prawdopodobnie szyję. Przecięła tętnicę. Krew leciała mu z szyi i głowy. Tryskała jak fontanna.

— Usiłowałam ją zatamować. Naprawdę próbowałam. Ale byłam taka przerażona. Nie mogłam znaleźć nic, czym mogłabym mu owinąć szyję i zatrzymać krwotok. Krwi leciało coraz więcej. Tak dużo, że można by w niej pływać. Sandy nie żył. Zabiłam go. A potem... Uciekłam. Wybiegłam na deszcz. Biegłam i biegłam, aż dotarłam do domu. I zadzwoniłam do was.

— Niiieeee! — jęknęła Taylor, obejmując się mocno rękami. Oczy miała zamknięte.

— Niiieeee!

— Zabiłam Sandy'ego — powtórzyła Hillary.

Jej głos brzmiał teraz głucho i matowo. Oczy Hillary straciły blask, patrząc nieruchomo zza okularów.

— To był wypadek. Ale go zabiłam.

Spojrzała na mnie.

— Teraz zadzwonię na policję. Zadzwonię i opowiem im, jak to się stało. Ale pomyślałam, pomyślałam, że wy najpierw powinniście się o tym dowiedzieć. Jesteście moimi przyjaciółmi i chciałam, żebyście znali prawdę.

— Ale dlaczego?

Odwrociłam głowę, gdy z gardła Taylor wydarł się piskliwy skowyt.

— Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Znowu ruszyła w stronę Hillary.

— Dlaczego Sandy musiał umrzeć? Dlaczego? Dlaczego właśnie Sandy? — zawodziła.

— Taylor, próbowałam to wytłumaczyć... — zaczęła Hillary.

Ale wrzaski Taylor ją zagłuszyły.

— Nic nie rozumiesz! — pisała Taylor. — Nic nie rozumiesz! Dlaczego właśnie Sandy musiał zginąć? On nic nie zrobił! Nic nikomu nie zrobił! Nie rozumiesz? To nie on zabił Ala! Ja to zrobiłam!

rozdziat24

Poczułam nagle zawroty głowy, wtuliłam się w oparcie krzesła.

Nie mogłam jeszcze się otrząsnąć z tego, co powiedziała Hillary. Drżałam na myśl o tym, co stało się w domu Sandy'ego. Wyobrażałam sobie ich desperacką walkę, Sandy'ego leżącego na podłodze, fontanny krwi, ciężkie popiersie miażdżące jego czaszkę.

Miałam przed oczami przerażenie Hillary i nagle Taylor to zmieniała. Zmieniała wszystko.

Wszystko. Wypowiadając tylko dwa zdania.

— Sandy nie zabił Ala. Ja to zrobiłam.

— Mówisz prawdę? — słowa wyrwały mi się z ust oschłym, jak gdyby do mnie nie należącym głosem. — To ty zabiłaś Ala?

Taylor skinęła głową. Spojrzała na Hillary. Jej zielone oczy błyszczały wściekłością.

— Zabiłaś niewłaściwą osobę.

— To był wypadek! — broniła się Hillary. — Straszny wypadek!

Wstałam. Objęłam Hillary i posadziłam ją na kanapie. Vincent

wziął ją za rękę. Ścisnął ją uspokajająco.

Hillary trzęsła się cała, tak jakby miała wysoką gorączkę. Nieduży, kwadratowy koc wisiał przewieszony przez oparcie kanapy. Zdjęłam go i otuliłam nim Hillary.

— Czy ktoś chce się dowiedzieć, dlaczego zabiłam Ala? — zapytała Taylor.

Odwrociłam głowę i zobaczyłam, że usiadła na moim miejscu. Pochyliła się do przodu, opierając ręce na poręczach krzesła. Przybrała taką postawę, jakby zeznawała przed nami w sądzie.

— Chodziłam z Alem — powiedziała. — Tak, tak. Wiem, co o tym sądzicie. Za plecami Sandy'ego. Teraz już za późno, żeby tego żałować.

Westchnęła gorzko.

— Zawsze miałam słabość do niebezpiecznych chłopaków. A Al miał w sobie coś niebezpiecznego. I był znacznie bardziej podniecający niż Sandy. Al podobał mi się, bo był zły i nieobliczalny. Ale miałam z nim też kłopoty.

Pociągnęła nosem. Pokręciła głową i wbiła wzrok w podłogę.

— Kilka miesięcy temu ukradłam rodzicom pieniądze. Około stu dolarów. Żeby wyciągnąć Ala z więzienia. To był mój błąd. Nie wiem, co mi wtedy strzeliło do głowy.

Zamilkła. Zwilgotniały jej oczy. Broda drżała. Czekaliśmy, aż skończy swoją opowieść. Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Taylor wyglądała na pogrążoną we wspomnieniach. W końcu znów zaczęła mówić.

— Z Ala był niezły padalec. Zażądał więcej pieniędzy. A potem jeszcze więcej. Groził, że powie moim rodzicom o skradzionych pieniądzach. Mimo że ukradłam je dla niego!

— Niewiarygodne — wymamrotał Vincent.

Obydwoje z Vincentem obejmowaliśmy Hillary, próbując ją uspokoić.

— Padalec — mruknęła Taylor. — Powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć ani słyszeć. Ale zmusił mnie, żebym spotkała się z nim tamtej nocy, po naszym wypadzie na rolki. Zaciągnął mnie w tę opustoszałą uliczkę i powiedział, że znów potrzebuje stu dolarów.

Kazałam mu się wynosić. Iść i donieść moim rodzicom. Było mi wszystko jedno.

Al zaczął się ciskać. Złapał mnie za ramiona i pchnął na ścianę, na tyłach toru wrotkarskiego.

Bardzo się przestraszyłam. Zaczął szarpać za rolki, które miałam przewieszane przez szyję.

Taylor z trudem przełknęła ślinę. Łzy spływały po jej bladych policzkach. Nawet nie próbowała ich ocierać.

— Wtedy straciłam głowę — ciągnęła, tak mocno ściskając poręcz fotela, że zbieleły jej kostki rąk. — Wyrwałam mu moje rolki. Zaczęliśmy się szamotać. Sznurówki rolek były związane ze sobą. Jakoś... jakoś znalazły się dookoła szyi Ala. Musiałam je tam okręcić. Naprawdę tego nie pamiętam.

Pamiętam tylko, że ciągnęłam za rolki. Ciągnęłam za nie tak moc-

no, jak tylko mogłam. Wściekłość dodała mi siły. Szalona wściekłość. Nawet nie podejrzewałam, że jestem aż tak silna.

Zadusiłam Ala. Tak bardzo go nienawidziłam. Chyba wpadłam w szał. Zachowywałam się jak w transie. Nie wiedziałam, co robię. Tak, jakbym to nie była ja. Jakbym stała na zewnątrz i obserwowała moje ciało — czyjeś ciało duszące Ala. Duszące go. Duszące go. Aż przestał się szamotać i zmarł w bezruchu.

A potem...

Taylor wzięła głęboki oddech. Łzy zamoczyły rękawy jej bluzy.

— Potem pobiegłam do Sandy'ego. I opowiedziałam mu o wszy stkim.

Całym ciałem Taylor zaczęły wstrząsać spazmy płaczu.

— Sandy był wspaniały. Żadnemu chłopakowi nie zależało na mnie tak bardzo. Sandy'emu

zależało aż za bardzo. Przyznał się do popełnienia morderstwa. Żeby mnie uratować.

— Powiedział wam, że zabił Ala. Wiedział, że jesteście jego przyjaciółmi. Był pewien, że go nie zdradzicie. Zaufał wam. A wy... wy... — głos uwiązł w gardle Taylor.

— A co wy zrobiliście? — zaczęła się na nas wydzierać. — Zaufał wam, a wy zdradziliście go!

Wbiła w Hillary pałające nienawiścią oczy.

— Zdradziliście go. A ty go zabiłaś! Jak mogłaś? Sandy był nie winny! Zupełnie niewinny! Jak mogłaś go zabić?

Taylor zerwała się, zacisnęła pięści i ruszyła w stronę Hillary.

Przystanęła w pół kroku, gdy usłyszała, że ktoś dzwoni do drzwi.

Wszyscy krzyknęliśmy ze zdziwienia.

Hillary wstała i zrzuciła z siebie koc.

Ktoś zadzwonił ponownie.

Vincent i ja poszliśmy z Hillary do drzwi.

— Wezwałaś policję? — zapytała Taylor. — Hillary, czy to oni?

Wezwałaś policję, zanim nas tu zaprosiłaś?

Hillary milczała. Weszliśmy na korytarz. Otworzyła drzwi. Do domu wszedł Sandy.

100

101

rozdział 25

Nie potrafię wam opisać, co się potem działo.

Byłam zupełnie oszołomiona. Pokój zaczął wirować mi przed oczami. Przez otwarte drzwi widać było szalejącą na zewnątrz burzę. Czułam się tak, jakby rozgrzane do białego pioruny przeszywały moje ciało. Błyskawice oślepiały mnie i wprawiały w ruch cały pokój.

A potem czyjś piskliwy głos sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

— Oszukaliście mnie! — zawyła Taylor.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Taylor osuwa się na kolana.

— Oszukaliście mnie! Oszukaliście mnie!

Sandy podniósł ją z podłogi. Objął ją.

— Tak mi przykro — szepnął. — Taylor, uwierz mi. Strasznie mi przykro.

Stał tuląc ją do siebie, a ja pobiegłam z Hillary do telefonu, zadzwonić po rodziców Taylor.

— Przepraszam, Julio, że musiałam odgrywać to przedstawienie także przed tobą — powiedziała Hillary podnosząc do ucha słuchawkę. — Domyśliłam się prawdy i oznajmiłam p tym Sandy'emu. Okazało się, że on też nie może już dłużej dusić w sobie tej tajemnicy.

Uznaliśmy, że musimy przestraszyć Taylor, żeby zmusić ją do wyznania. Niestety, ty też musiałaś w tym uczestniczyć.

— Nie ma sprawy — odparłam. — Przynajmniej w końcu dowiedzieliśmy się prawdy.

Hillary zaczęła rozmawiać z tatą Taylor. Powiedziała mu, żeby przyjechał jak najszybciej.

— Jestem wam winien przeprosiny — oświadczył Sandy. —

Chciałem bronić Taylor. Nie wiem, dlaczego zacząłem was tak okropnie traktować. Śledzić was, straszyć i tak dalej. Myślę, że nie chcia

łem, żebyście poznali prawdę. No i pragnąłem udowodnić Taylor, że ja też mogę być niebezpieczny, tak jak Al.

Sandy westchnął, tuląc do siebie Taylor.

— Wiem, że to wszystko było głupie i szalone — powiedział

smutno. — Nie powinienem się przyznawać do popełnienia morderstwa.

— Myślę, że już do końca życia mamy dość wyznań! — zawołałam.

Wszyscy zgodzili się ze mną. Ale czekało mnie jeszcze jedno wyznanie.

Dwa tygodnie później wracałam z Vincentem ze szkoły. Nagle Vincent pochylił się i szepnął mi do ucha:

— Julio, muszę ci coś wyznać.

Wyznanie?

O, nie! Proszę, tylko nie to! — pomyślałam. — Jeszcze jedno wyznanie i zacznę krzyczeć!

Wstrzymałam oddech. Zamknęłam oczy.

— Wyznanie? Jakie wyznanie? — zapytałam z wahaniem w głosie.

— Szaleję za tobą od podstawówki — wyznał Vincent. Zaczęłam krzyczeć z radości.